

## Miranda Lee *Pamiętny rejs*

Mike Stone, milioner i specjalista od programów komputerowych, musi niezwłocznie się ożenić, jeśli chce zostać współnikiem renomowanej firmy i zarobić kolejne miliony. Powinien także wraz z żoną wziąć udział w rejsie. Aby ją szybko poznać, udaje się do biura matrymonialnego, które prowadzi piękna Natalie Fairlane...

## Sharon Kendrick *Zostać księżną*

Guido, książę Mardivino, znany biznesmen, poznaje podczas lotu atrakcyjną stewardesę Lucy. Spotykają się wszędzie, gdzie tylko przecinają się ich drogi: w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku. Wreszcie Guido postanawia zaprosić ją na rodzinną uroczystość na książęcym dworze...



W tym miesiącu polecamy:

### **Gorący Romans Duo**

Caroline Cross *Sila miłości*

Peggy Moreland *Dziedzictwo*

HARLEQUIN

www.harlequin.pl

ISSN 978-83-238-9032-8

ISSN 1895-6122



9 771895 612104

CENA 12,90 ZŁ





Sharon Kendrick

*Zostać księżną*



## *ROZDZIAŁ PIERWSZY*

Guido spojrział na zegarek i przebłysk niezadowolenia na krótko zmącił zmysłową doskonałość jego ust.

Ona się spóźnia!

Jednak irytacja ustąpiła łagodnemu uśmiechowi, gdy pomyślał, jakie czekają go wkrótce rozkosze. Trudno winić Lucy za to, że spóźnia się jej samolot. A poza tym ona się raczej nie spodziewa, że on tu na nią czeka.

Guido zastanowił się, jak też Lucy zareaguje, gdy odkryje go przy bramce? Należała bowiem do tego gatunku kobiet, które stale go zaskakiwały.

Rzucił okiem na tablicę przylotów. Maszyna już wylądowała i wkrótce członkowie załogi powinni się pojawić przy wyjściu dla personelu.

Rozejrzał się, świadomy, że jest obserwowany. Przywykł do tego, że jego męska uroda przyciąga spojrzenia kobiet. On jednak czekał tylko na tę jedną jedyną. I wkrótce ją dostrzegł, w tym jej śmiesznym firmowym kapelusiku, z wymykającymi się spod niego tycjanowskimi włosami.

Szła z gracją, ubrana w swój granatowy kostium stewardesy, długonoga, z niewielką walizeczką w ręku i z chłodem w oczach, który dziwnie kontrastował z płomienistą barwą jej fryzury.

Poczuł nagły przypływ pożądania, lecz stłumił wszelkie emocje. Nie drgnął nawet, nie wykonał żadnego gestu. Stał nieruchomy; wołał,

żeby go jeszcze nie widziała, żeby niespodzianka była większa. Bardzo był ciekaw, jak też ona zareaguje, kiedy go wreszcie zobaczy?

- Jedziesz prosto do hotelu? - odezwała się Kitty.

Lucy obróciła głowę. Jej koleżanka poprawiała sobie właśnie kredką usta, nie przerywając marszu.

- Chyba tak - odrzekła. - A dlaczego pytasz?

- Bo wiesz... - Kitty uśmiechnęła się figlarnie i wrzuciła szminkę do torebki. - Nie byłam pewna, czy nie spotykasz się dziś z tym swoim... księciem.

Wzruszyła ramionami. Domyślała się, że koleżanki po prostu jej zazdroszczą. Sama sobie też niemal zazdrościła tego, że adoruje ją najprawdziwszy w świecie książę. Cóż, nie jest to taka znów zwykła rzecz - chodzić na randki z kimś tak utytułowanym.

- Hej! - Kitty pokazała głowę. - Czy to aby nie on stoi tam, w hali?

Lucy ściągnęła brwi. A to dopiero! Przecież nie umawiali się na dzisiaj. Ostrożnie zerknęła w stronę hali przylotów. Tak, rzeczywiście stał tam Guido.

- To na pewno on - stwierdziła Kitty. - Proszę, proszę, pofatygował się po ciebie sam, we własnej osobie. Książę! Czy to nie romantyczne?

Lucy zaczęła poprawiać włosy wymykające się spod kapelusza.

- Może i romantyczne - zgodziła się. - Ale ja staram się go traktować jak zwykłego mężczyznę.

Łatwo to powiedzieć, „zwykłego mężczyznę”. Guido jednak nie był zwykły. Czuło się w nim zawsze jakąś naturalną, niewymuszoną wyższość. Być może człowiek z tym się rodzi, a może uczy się takiej postawy, wychowywany od najmłodszych lat w arystokratycznym domu? Tak czy owak Guido nie był normalnym mężczyzną.

Lecz wobec tego co on widzi we mnie, zwykłej kobiecie? - zastanowiła się Lucy. Wszystko to jest jak sen na jawie. Za chwilę sen się może urwać i skończy się też piękna historia o księciu z bajki. Nie przywiązuj się więc zanadto do swego snu, napomniwała siebie samą. Ten niezwykle ktoś bawi się tylko tobą, chce mieć z tobą przelotny romans, nic więcej. Najwyżej to. Nie angażuj w to serca, bo pożałujesz.

Z roztargnieniem pożegnała się z Kitty i ruszyła w stronę Guida. On stał pod filarem, ubrany dziś w jasny, elegancki garnitur z lnu.

- Dzień dobry. - Skinęła głową, postarawszy się o niezobowiązujący ton. - Nie spodziewałam się, że będziesz tu na mnie czekał...

Miał przed sobą tę Piękną Rudowłosą, jak z Apollinaire'a; miał ją, lecz i nie miał. Gdyż była taka chłodna i wydawała się kompletnie niezależna. W oczach zdawała się mieć lód i nawet płomień jej fryzury był w tej chwili zimny.

Ale czy nie to mnie właśnie rozpala? Ta niezależność? Jestem myśliwym, który chce pogoni. A ta dziewczyna mi się wymyka, i ja tego akurat potrzebuję. Tylko skąd ta frustracja?

- Może bym i nie czekał - poruszył brwiami - gdybym wiedział,

jak mnie tu powitasz.

- A jak cię witam?

- Bardzo chłodno, prawie obojętnie...

- Obojętnie? - uśmiechnęła się lekko. - A co, lubisz, jak ci kobiety zawisają na szyi?

- Kto wie - odrzekł poważnie. - Może czasem lubię. Zresztą ludzie dość często tak się witają.

Wzruszyła ramionami i spojrzała w bok.

- Może jestem trochę zmęczona... Właściwie chce mi się w tej chwili spać.

- Chcesz spać? Ale chyba nie sama? - Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń, podnosząc ją do ust i zarazem obracając ku sobie wnętrzem.

Na więcej nie pozwolił sobie. I nie daj Boże, gdyby mu się naprawdę rzuciła na szyję! Podpatrzyłby to może jakiś paparazzi i zaraz byłyby nagłówki w tabloidach, że Guido, księżę Mardivino, ma już wybrankę serca, że ślub blisko i tym podobne brednie.

- Daj mi tę walizeczkę. I chodźmy już do samochodu.

No i pięknie. Udało jej się nieźle odegrać ten chłód i rezerwę. A nie było łatwo, zwłaszcza od momentu, gdy on ucałował wnętrze jej dłoni. Zrozumiała ten gest, rozpałił ją ten pocałunek, rozpałił bardziej, niż chciałaby to sama przed sobą przyznać.

Oddała sakwojaż.

- Moglibyśmy pojechać taksówką, byłoby prościej.

- Taksówką? Dlaczego? Ja tu przyjechałem po ciebie limuzyną.

- Aż limuzyną? Ojej, taką z szoferem?

- Oczywiście - skinął głową - właśnie taką. Ale mój szofer to bardzo dyskretny człowiek, tak że się nie obawiaj. Jest do tego stopnia grzeczny, że zupełnie nie zwróci uwagi na to, co będziemy robili na tylnym siedzeniu.

- A co będziemy robili? - Uniosła brwi.

- Wszystko, co zechcesz. - Puścił ją przodem przez automatyczne drzwi. - Na przykład posadzę cię sobie na kolanach i...

- Guido, przestań! - Pogroziła mu palcem.

- ...Posadzę cię sobie na kolanach, będziemy się całowali i pomału rozbierali...

- Guido! - Poczowała, że nagle zaschło jej w gardle.

- ...ja ci ściągnę majteczki...

- G-Guido. Nachylił się do jej ucha.

- Potem może wejdziesz w ciebie? Oczywiście dyskretnie. Co ty na to?

- Guido! - Spiorunowała go spojrzeniem, czując zarazem, jak jej puls gwałtownie przyspiesza.

Wziął ją pod łokieć i podprowadził do maszyny, która właśnie podjechała do krawężnika. Kierowca wysiadł, a Guido rzucił mu kilka słów po francusku.

Szofer otworzył tylne drzwi, Lucy wsiadła i od razu poczuła się dziwnie swojsko. Jak w luksusowych jumbo jetach, w salonkach dla VIP-ów, gdzie nieraz pełniła swe obowiązki.

Ruszyli, a Guido bez ceremonii przyciągnął ją do siebie.

Otworzyła usta, by protestować, lecz zamknął je pocałunkiem.

Nie zdecydowała się go odepchnąć. Wśród sprzecznych emocji chłonęła bliskość tego pięknego mężczyzny. Smakowały jej jego usta i podobał się też zapach.

- No i widzisz? - Zajrzał jej po chwili w oczy. - Nie rzucałem słów na wiatr. Już się całujemy, a co będzie dalej...

- Nie powinniśmy - szepnęła. - Guido, nie tutaj...

- Co, krępuje cię mój kierowca? - Płacę mu za to, żeby był dyskretny.

- Ale...

- Przecież ty chcesz! Ja wiem. Wiem, że chciałaś... Widziałem to w twoich oczach.

Położyła mu głowę na ramieniu. Trwali tak chwilę, a potem on wsunął dłoń między jej uda.

- Nie.

- Nie zaciskaj - poprosił. - *Cara mia* - szepnął. - Ależ śliczny ten twój zakątek.

Cóż miała robić: poddała się jego pieścizom. Ponieważ on miał rację; rzeczywiście chciała zbliżenia.

Całe jej ciało zaczęły w tej chwili przenikać słodkie dreszcze. Gdy przyszło pierwsze spełnienie, przypadła ustami do jego ust. Potem rozluźniła się i osunęła nieco w fotelu, oddychając ciężko.

On nie dawał za wygraną i zaczął ją znowu pieścić. I znów przeżyła spazm, a po nim jeszcze jeden.

Wyczerpana, otarła wierzchem dłoni czoło.

- Dlaczego mi to robisz? - zapytała, tuląc się do niego. - Guido,



dlaczego?

Przygarnął ją ramieniem.

- Bo widziałem, że tego chcesz. I dostałaś to, czego chciałaś.

Więc po co pytasz?

- Ale mogliśmy z tym poczekać, aż... aż...

- Kiedy ty nie chciałaś czekać.

Nie chciała? No tak, rzeczywiście. Podniosła ku niemu wzrok, lecz jak zwykle z czarnych oczu Guida nie dało się nic wyczytać.

- A co będzie z tobą? - spytała, zaciskając nagle dłoń na jego męskości.

Zobaczyła, że Guido przymyka oczy i walczy z sobą. Zaraz jednak opanował się, ujął jej dłoń i odsunął. Ponownie ją ujął i uniósł do ust.

- *Cara mia* - powiedział. - Ja mogę poczekać.

Jego stać na samokontrolę. Czyż może być inaczej? Szlachectwo zobowiązuje, a tym bardziej zobowiązuje bycie księciem. Tacy jak on nigdy nie są niewolnikami, niczyimi niewolnikami. Nawet niewolnikami swoich zmysłów.

Splonęła się lekko i odrobinę odsunęła, nagle zawstydzona swą „niższością”.

- Co się stało? Lucy?

Jego głos był miękki, ktoś uznałby, że czuły. Tylko czy Guido w ogóle umiał być naprawdę czuły?

Wzruszyła ramionami. I nic nie odpowiedziała.

- Lucy, przepraszam - szepnął. - Bardzo cię przepraszam.

Przymknęła oczy. Ale właściwie za co on ją przeprosza? Za to, że dzięki niemu pobyła przez chwilę w niebie? Czy za to, że jest takim mistrzem seksu?

- Czuję się przy tobie taka bezradna... Pocałował ją w czubek głowy.

- Kobietom wolno się tak czuć. Czasem nawet powinny być bezradne.

- A mężczyźni nie powinni? Nigdy? Dlaczego?

- Myślę, że jednak nie - odrzekł poważnie. - Męczyzna jest z natury opiekunem i wojownikiem, to chyba oczywiste. To nie jest jego rola, leżeć na pleckach jak kiciuś, mrużyć i być bezradnym.

- Jak kiciuś? - uśmiechnęła się. - Chcesz powiedzieć, że kobiety leżą na pleckach i mrużą?

Przytulił ją.

- Kto wie, kotku, kto wie... Ale z ciebie naprawdę wspaniały kotek, Lucy! I bardzo lubię, że taka właśnie jesteś. Możesz być z siebie dumna.

Wydęła usta. Zaczęła poprawiać na sobie ubranie.

- Ale ja nie wiem, czy ja sama siebie taką lubię.

- Lubisz, lubisz - zapewnił ją. - Na pewno lubisz.

- A ty jakiego siebie lubisz? - Złapała go za guzik u marynarki. - Zawsze musisz być dominujący, nigdy się nie odprężasz? To jest właśnie twój styl?

- Ależ odprężam się, odprężam. - Wzruszył ramionami. -

Niedługo nawet zobaczysz jak, przyrzekam ci to.

- Myślisz o łóżku? Tylko, że ja niekoniecznie o tym...
- Ja też niekoniecznie - odrzekł, opierając się głową o jej głowę.

Przez moment jechali w milczeniu; Lucy zorientowała się, że są teraz na Park Avenue. W pewnej chwili samochód zatrzymał się pod starym, bardzo pięknym domem.

- Czemu tutaj stajemy? - spytała.
- Bo przyjechaliśmy na miejsce.
- Jak to? To nie wygląda mi na hotel.
- Ponieważ nim nie jest - uśmiechnął się i poprawił krawat. -

Wiesz, że bawię się trochę w dewelopera... Mam do czynienia z nieruchomościami. I tutaj właśnie zobaczysz jeden z mych apartamentów. Kiedyś go może sprzedam, a na razie sam używam. Zapraszam cię do siebie, Lucy! Witaj w domu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Więc masz tu apartament?

- No właśnie - skinął głową. - Mam nadzieję, że zechcesz go obejrzyć? Bardzo zapraszam.

Jakżeby mogła nie chcieć. Od dawna była ciekawa, jak też jej księżę może mieszkać. Tutaj, w Nowym Jorku, w stolicy zachodniego świata.

- Pewnie, że zechcę, czemu nie.

Jak dotąd, spotykali się w hotelach. Hotele były zresztą częścią wędrownego życia Lucy jako stewardesy. A co do jego prywatnych mieszkań to wiedziała, że w różnych częściach świata posiada różne nieruchomości, lecz jak dotąd żadnej z nich jeszcze nie zechciał jej pokazać.

- Nie zapomnij kapelusza - uśmiechnął się.

Dotknęła głowy: no tak, firmowe nakrycie spadło, kiedy się zaczęli całować... Rozejrzała się: kapelusz leżał na podłodze.

Zgarnęła go i otrzepała.

- Jest brzydki - oceniła. - Uważam go za wyjątkowo nietwarzowy.

- E, przesadzasz, ja go uważam za szykowny, nawet *tres chic!*

- Naprawdę? - zapytała z powątpiewaniem. - Dziwny masz gust.

- Wcale nie dziwny, tylko wyrobiony... No, ale chodźmy już. -

Nacisnął klawisk. - Kierowca zaopiekuje się twoją walizką.

Wysiedli, weszli do budynku i od razu skierowali się do windy.

- Mieszkasz na górze? - zdziwiła się.

- Tak, mam penthouse z tarasem. - Przepuścił ją w drzwiach do windy. - Na ostatnim piętrze. A w nim, pozwolę sobie zauważyć, niezłe urządzonej kuchnię.

- Dlaczego wspominasz właśnie o kuchni?

- Bo mam nadzieję, że przyrządzisz nam jakąś smaczną kolację.

Co, Lucy?

- Ja? Kolację? - Zmarszczyła nos, na którym poruszyło się kilka piegów. - Ale ja nie cierpię pichci. Nie wiedziałeś?

- Nie cierpisz... - Uniósł brwi. - No proszę, nie wiedziałem, słowo daję. Ładne rzeczy, Lucy Maguire nie cierpi pichci.

Wysiedli i przecięli hol wyłożony grubym, tłumiącym kroki dywanem. Guido otworzył drzwi do mieszkania kartą magnetyczną.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział. - Zapraszam do środka.

Kiedy go mijala, raz jeszcze dotarło do niej, jak ten mężczyzna pięknie pachnie, czystością, piżmem, cytryną, pinią... I czym jeszcze? Całym bukietem przyjemnych rzeczy.

Ledwie drzwi zatrzasnęły się za nimi, poczuła, że on chwyta ją w objęcia.

- Pragnę cię. Chodź do mnie, Lucy.

Lucy pieściła go ręką, rejestrując mimochodem, jaką piękną panoramę Nowego Jorku ma Guido za oknem.

- Chcesz, żebym się dla ciebie rozebrała? - zapytała. - Tutaj, zaraz?

Zamrugał powiekami, jak obudzony ze snu.

- Mam się dla ciebie rozebrać? - powtórzyła. - Chcesz zobaczyć striptiz?

Wahał się przez moment, wytrącony z rytmu. Nie wiedział, czego pragnie bardziej, mieć ciastko, czy zjeść ciastko. W końcu zdecydował, że odwlekanie spełnienia będzie bardziej rozkoszne niż sama rozkosz.

- No dobrze, zrób striptiz. - Oparł się łokciem o obramowanie kominka. - Pokaż, co potrafisz.

Skinęła głową i zaczęła tańczyć, naśladowując ruchy zawodowych striptizerek. Wiedziała, że może się spodobać w takiej roli; nieraz ćwiczyła przed lustrem i gotowa była teraz skorzystać z nabytych umiejętności... Nie mogła przecież liczyć na rolę ukochanej tego księcia. On chce od niej tylko seksu, wiedziała to. Trudno, niech będzie chociaż tyle. Byle się to działo z Guidem.

Podjęła taniec, spuszczać zakiet swego kostiumu na podłogę i powoli rozpinając guziczki bluzki.

- Ależ powoli rozpinasz... - Zbliżył się do niej i przysiadł bokiem na oparciu fotela. - Szybciej, Lucy.

Zajrzała mu w oczy.

- To może jednak pójdziemy po prostu do łóżka?

- Nie, nie, potańcz jeszcze - poprosił. - Tak ładnie to robisz.

Przeginając się wężowo i podśpiewując z cicha, zaczęła rozpinąć granatową spódniczkę. Pozwoliła jej opaść w dół. Ściągnęła przez głowę bluzkę, zostając w samych majteczkach i w koronkowym

staniku. No i w swoich firmowych szpilkach, na bardzo wysokim obcasie.

Obróciła się tyłem, rozpięła biustonosz. A gdy ten także zsunął się na podłogę, zakołysała piersiami, stając z Guidem twarzą w twarz.

- Chodź do mnie! - wyciągnął do niej rękę. - No chodź.

Uśmiechnęła się przekornie.

- Naj-pierw-się-tro-chę-roz-bierz - zaśpiewała na nutę, do której przed chwilą tańczyła.

Guido bez słowa zdarł z siebie marynarkę. Za nią poszła śnieżnobiała, jedwabna koszula. Chwilę mocował się z krawatem, którego nie chciało mu się rozwiązywać, więc ściągnął go przez głowę, jak obrożę.

- Chodź do mnie! - powtórzył.

Pokręciła głową.

- Jeszcze nie... Najpierw zdejmij spodnie - zakomenderowała.

Wstał z poręczy fotela, czując, jak mu wali serce. Bardzo był już podniecony.

- Czemu ty mi ich nie zdejmiesz?

- Ja? Nie, sam je zdejmij. No, do roboty, Guido... Zdejmuj!

Zdziwiły go te jej komendy. Żadna dotąd kobieta tak go nie potraktowała. Lub inaczej: żadnej dotąd on nie pozwoliłby się tak potraktować.

Lecz teraz pozwalał; widać było w Lucy coś, co go przekonywało. Posłusznie pozbył się reszty ubrania i stanął przed nią całkiem nagi. Oraz skrajnie pobudzony. .

Z podziwem spojrzała na jego imponującą męskość.

- No, no Guido! Ale jesteś wspaniały - uśmiechnęła się.

Spojrzał po sobie.

- To co, idziemy do sypialni? - Wyciągnął do niej rękę.

Podbiegła, chwyciła jego dłoń i pociągnęła go za sobą.

Lecz Guido nie pozwolił jej na pozycję dominującą. Obrócił ją na plecy.

- Kto tu rządzi! - uśmiechnął się do niej bliska. Półożąc na niej, oparł się na łokciach i przywarł ustami do jej ust.

Oboje czuli, że znaleźli się w niebie, tu, na ziemi.

Guido, wyczerpany, opadł na plecy. Nie miał siły nic mówić. To, co przeżył, było dla niego bardzo nowe. Czy był to czysty seks? Czy jednak coś więcej?

Zapadł w sen, sam nie wiedząc kiedy.

Lucy nachyliła się nad nim i ostrożnie zajrzała mu w twarz. O, jakże był piękny i tak dziwnie przystępny, kiedy nie musiał odgrywać swej książęcej roli, kiedy w ogóle nic nie odgrywał. Śpiąc, wydawał się łagodny, całe jego ciało zmiękło, tym bardziej, że narastający zmierzch opływał je miękkimi półcieniami.

Usiadła i rozejrzała się po pokoju, w którym byli. Podłożyła sobie poduszkę pod plecy.

A więc to jest mieszkanie księcia? Cóż, nie jest to oszałamiająca rezydencja, pomyślała, nie ma tu żadnego przepychu. Niemniej wszystko było bogate i bardzo, bardzo wygodne. Łóżko, na którym półożała, zasługiwało na miano *king size* - już choćby z powodu



rozmiarów. Nigdy w życiu nie widziała tak wielkiego mebla do spania.

Na szafce obok dostrzegła w kutej ramce jakąś fotografię.

Pochyliła się i przysunęła sobie tę ramkę. No tak, to musi być rodzina jej księcia. Był tutaj Guido z matką, z bratem Gianferro i z ojcem. Guido miał na tym zdjęciu nie więcej niż pięć lat. Jego matka wydawała się jeszcze taka młoda...

Któżby pomyślał, że wielka księżna wkrótce umrze, zaraz po urodzeniu trzeciego z synów, Nicoli. Lucy westchnęła. Jak dobrze, że człowiek mało wie o swojej przyszłości. Gdyby wiedział dużo, nie uśmiechałby się tak ufnie na fotografiach.

Rozpoznawała osoby z tego królewskiego zdjęcia dlatego, że niedawno buszowała trochę w internecie. Znalazła stronę poświęconą rodowi Mardivinów.

Samego Guida poznała zaś niezbyt dawno na pewnym przyjęciu. Nie wiedziała wówczas, kim jest. Umówiła się z nim dlatego, że wydał się jej po prostu fascynującym mężczyzną. Gdyby wiedziała, w co się przez tę znajomość uwikła, może by się zawahała?

## ROZDZIAŁ TRZECI

To było jedno z tych przyjęć, na które nie bardzo chciała się wybrać. Podczas międzylądowania w drodze powrotnej do Londynu załoga miała wolny wieczór, więc niektórzy przypadkowo dali się wciągnąć w zabawę; miał w niej uczestniczyć, jak się dowiedzieli, „pewien prawdziwy książę”, co niektórym wydało się atrakcją godną uwagi.

Jej samej argument o księciu akurat nie zainteresował.

Dali się zaprosić czeskim kolegom do siedziby TriBeCa; Lucy z zaciekawieniem rozglądała się po wnętrzach przemienionych, nie wiadomo czemu, w jakiś karawanseraj, z mnóstwem haftowanych poduch, z dobiegającą zewsząd muzyką pustyń i nasyconych zapachem kadzideł.

- ...I oczywiście obejrzymy tutaj tańce brzucha - odezwała się wtedy głośno, wkraczając w progi TriBeCa.

- Cśś - ktoś ją ostrzegł. - Lepiej nie prowokuj, bo organizatorzy mogą nie podzielać twego poczucia humoru.

Uznała, że może to i racja. Postanowiła więc w ogóle w niczym nie brać udziału i tylko ot tak, popatrzeć sobie. Wewnątrz przystanąła z boku, w cieniu jakiejś sztucznej palmy. Ktoś podsunął jej na tacy szklankę z drinkiem. Kiedy umoczyła usta, wzdrygnęła się i odstawiła napój na jeden z niskich stolików.

- Wstrętne, co? - dobiegł ją dźwięczny głos jakiegoś mężczyzny,

stojącego za nią.

Obejrzała się. Już gotowa była dyplomatycznie zaprzeczyć, że niby drink jest znakomity, ale jakoś nie zdobyła się na to.

- Trochę w nim... jakby za dużo korzeni - powiedziała. - Pali w gardle.

- No właśnie. I alkoholu też za dużo - uśmiechnął się nieznajomy.

- Tak, owszem - zgodziła się.

Zerkali na siebie oboje dziwnie poruszeni. Ona zaraz poprawiła włosy, a on krawat. Spróbowali się od siebie oddalić, ale jakaś siła przyciągnęła ich z powrotem. Tak bywa, gdy między dwojgiem nieznajomych zadziała nagle magia.

Lucy miała na sobie prostą zieloną sukienkę z aksamitu, raczej krótką, do połowy uda, tak że jej długie nogi zdawały się nie mieć końca. Na nogach miała szerokie, zamszowe botki, co w sumie komponowało się niezbyt sensownie. Włosy, puszczone luzem, spływały jej na plecy ciężką, tycjanowską falą.

Guido uznał, że ta kobieta wygląda jakoś... prowokacyjnie. Cerę miała białą, usianą piegami - a on lubił piegi - jej oczy zaś miały barwę miodu i patrzyły nader śmiało. I ta cecha również spodobała mu się u Rudej.

On zachwyił ją od razu. W jednej chwili doszła do wniosku, że nigdy jeszcze nie widziała tak pociągającego i przystojnego mężczyzny. Był piękny, a do tego dziwnie egzotyczny. Nie wyglądał na Azjatę i nie był też Amerykaninem, bo mówił z akcentem. Wyczuwało się w nim pewien rys arystokratyczny. Może to był jakiś

hiszpański hidalgo? Nie śmiała go o nic pytać.

Stali więc obok siebie, milcząc i spoglądając na małą scenkę, gdzie występowały jakieś tancerki. Guido zachodził w głowę, kim może być ta nieznajoma? I jak to możliwe, że nie próbuje go uwodzić? Może nie wie, z kim ma do czynienia? Jak dotąd, przymilały się do niego absolutnie wszystkie dziewczyny na świecie

- Jest pani nie stąd? - zapytał.

- Nie stąd - potwierdziła.

- Aha. Wobec tego skąd? Jakoś... przejazdem?

- Raczej przelotem. - Poprawiła torebkę zjeżdżającą jej z ramienia. - Pracuję w Pervola Airlines.

- Jako pilot?

- Pilot? - Uniosła brwi. - No nie. Zresztą, zadaje pan zbyt wiele pytań.

Jego oczy zabłysły.

- Dlaczego za wiele? Wzruszyła ramionami.

- No dobrze - westchnęła. - A więc jestem stewardesą, jeśli pan musi wiedzieć. Nie pilotem... Ale dziękuję za zawyżoną ocenę.

Otaksował ją wzrokiem i nic nie odrzekł. Lucy poczuła się pod jego spojrzeniem nagle dziwnie mała. Mała i taka nieważna, jakby była jedną z tych tancerek, tam, na scenie.

Guido nie przyglądał jej się wyniośle, bynajmniej. Tyle że była w nim jakby przyrodzona wyższość, zdolność dystansowania się wobec przyziemnych szczegółów tego świata. Tak to Lucy odbierała.

I raptem olśniło ją.

- Już wiem! - uśmiechnęła się. - Pan jest tym księciem, którego obecność tu zapowiadano. Tak?

Zmrużył oczy.

- A dlaczego tak pani myśli? Zawahała się.

- Cóż, tak mi się wydaje. - Odczekała chwilę i dodała: - Sądzę, że to nudna rzecz, być księciem? Jest się wciąż na widoku i słyszy się same pochlebstwa. Mam rację?

Zaplótł ramiona na piersi i czekał. Patrzył na nią i nic nie mówił.

Ona znów poprawiła torebkę. I uczyniła taki gest, jakby chciała się już pożegnać.

- Cóż, miło mi było pana poznać...

- Poznać? - wpadł jej w słowo. - Ależ my się jeszcze wcale nie znamy! W każdym razie ja nie mam takiego wrażenia. Jednak dałoby się to nadrobić, jeśli pani pozwoli... - Wyciągnął do niej rękę.

- Mam na imię Guido.

Z wahaniem uścisnęła jego dłoń.

- Lucy. Lucy Maguire...

Chciała cofnąć rękę, lecz on jej nie puszczał.

- Miło mi było - powtórzyła. - Ale teraz już chyba pójdę. - Udało jej się wyswobodzić dłoń.

- Nie chciałabym pana... to znaczy nie chciałabym ciebie zmonopolizować dla siebie.

- Kłamiesz, chciałabyś... I ja to samo czuję względem ciebie.

- No nie - zachnęła się. - Co za bzdury!

Powiedziawszy to, powinna była natychmiast odejść, a jednak nie

odchodziła. Dziwna siła przykuwała ją do tego mężczyzny.

I tak już pozostawali blisko siebie prawie całą noc. Sporo rozmawiali; Lucy dowiedziała się od Guida, że pochodzi on z Księstwa Mardivino, położonego na śródziemnomorskiej wyspie, ale w zasadzie odrzucił swoje arystokratyczne przywileje.

- Jesteś rozczarowana? - zapytał ją, mrużąc oczy.

Wzruszyła ramionami.

- Powiedz lepiej - uśmiechnęła się - co robią książęta, kiedy już nie chcą być książętami.

- O, robią wtedy jakieś interesy. - Przyjrzał się piegom na jej nosie. - Podobnie jak zwykli śmiertelnicy.

Czyżby? Zwykli śmiertelnicy, pomyślała, nie mają raczej wyglądu aniołów czy upadłych aniołów.

- A co jest twoją specjalnością, jako śmiertelnika, konkretnie?

- Obrót nieruchomościami. Mówiłem ci już, że bawię się w dewelopera.

Skinęła głową i nie drażyła dalej. Ostatecznie kwestia deweloperstwa nie jest specjalnie zajmująca.

Po przyjęciu Guido chciał ją odwieźć do hotelu, ale na to się nie zgodziła. Pozwoliła tylko przywołać dla siebie taksówkę. Za mało jeszcze się znali. Lucy należała do kobiet doświadczonych i ostrożnych.

Zanim się pożegnali, wręczył jej swoją wizytówkę.

- Zadzwoń do mnie - powiedział - gdybyś była tu znów przejazdem... To znaczy przelotem - poprawił się.

Uśmiechnęła się, rejestrując jednak szóstym zmysłem, że on jakby robił jej łaskę, wręczając ten bilecik. Dlaczego? Książę z bajki zaszczyca Kopciuszka - coś takiego było w jego geście.

A niechże cię, pomyślała.

No i oczywiście postanowiła, że nigdy do niego nie zadzwoni.

Jednak to, że nie szukała z nim kontaktu, pobudziło właśnie ciekawość Guida, więcej, jego instynkt myśliwego. Jak dotąd, kobiety nigdy go tak nie traktowały.

Uznał, że sam zechce ją odnaleźć.

Jak jednak miał to zrobić, gdy ona nie zostawiła mu swojego telefonu, a nawet i jej nazwisko wyleciało mu z głowy?

Cóż, w sumie trudność nie była zbyt wielka. Zadzwonił do Pervola Airlines i przedstawiając się pełnym tytułem, jako księżę Mardivino, zamówił najbliższy lot samolotem, na którego pokładzie życzył sobie spotkać „bardzo uprzejmą stewardesę o imieniu Lucy, taką rudą i o złotych oczach”. Po tamtej stronie ktoś się zaśmiał, zawahał, a potem wyjaśnił, że pewnie chodzi o Lucy Maguire? I rejs został zabukowany.

Spotkali się w klasie biznes, to znaczy najpierw on, Guido, wypatrzył tycjanowskie włosy i parę przepięknych nóg, a potem Lucy poczuła na sobie wzrok pasażera, którego właśnie zamierzała nigdy już nie oglądać.

Przemogła się oczywiście, postanawiając potraktować księcia jak każdego podróżnego. Obchodząc kolejno fotele, zatrzymała się i przy nim.

- Czym mogę służyć? - zapytała. - Może drinka przed startem?  
On czekał na inne powitanie... Ale na jakie? Z jakimiś serdecznościami, może z nagłym rumieńcem na jej twarzy?  
Milczał przez chwilę, potem się roześmiał.  
- Drink to za mało. - Zajrzał jej w oczy. - Umówmy się na całą kolację, dziś wieczorem, dobrze? - Z jej chłodnego spojrzenia szybko jednak wywnioskował, że był nazbyt pewny siebie. Dlatego ciszej dodał: - Ja bardzo proszę.

Owo „proszę” rozbroiło ją. Pięknie, a więc zarozumiały ksiązę zechciał ją aż „poprosić”. Na razie nic nie odpowiedziała, ale pod koniec rejsu podeszła do niego i szepnęła mu do ucha, że „tak, zgadza się”. Że mogą się spotkać.

I rzeczywiście spotkali się na kolacji, a potem w dziwnie naturalny sposób szybko wylądowali w łóżku. Spędzili ze sobą gorącą noc, lecz rano jakiś instynkt podpowiedział Lucy, by nie zachowywała się zbyt entuzjastycznie, jak obłaskawiona czy nie daj Boże pokonana zdobycz. Jej nieoczekiwany, nowy chłód zaintrygował Guida.

Ona zgadła, że ten mężczyzna musi być zepsuty nadmiarem powodzenia u kobiet. Dlatego podjęła z nim grę, która go zafrapowała. Zarazem Lucy wiedziała, że również i ta gra „w dystans i chłód” nie może trwać wiecznie. Ludzie wszystkim się nudzą i do wszystkiego przyzwyczajają, do każdej gry i do każdej nowości.

Postanowiła potraktować cały ich związek w ogóle z dystansem i bez większych złudzeń. Spotykali się rzadko, raz na kilka miesięcy. Zwykle szli wtedy na kolację, czasem do kina, a raz czy dwa nawet do



teatru.

On nigdy nie przedstawił jej swoim przyjaciołom, ani też ona nie poznała go ze swoimi znajomymi. Grali ze sobą sam na sam, wyłącznie dwuosobowo, ustalając się w przyjętych rolach. Lucy czuła, że gdyby zapragnęła czegoś więcej, wejścia w jego świat, mogłaby wszystko stracić. A wołała na razie nie tracić Guida. Jednak wołała go nie tracić.

No ale dlaczego właśnie dzisiaj coś się zmieniło? Dlaczego nie pojechali jak zwykle razem do hotelu, czemu on ją zabrał do siebie, do domu?

Pochyliła się nad jego uśpioną twarzą. Patrzyła widać tak intensywnie, że nagle rzęsy Guida drgnęły i powieki się uchyliły.

- *Ciao* - zamruczał sennie. Przeciągnął się i objął dłonią jej nagą pierś.

Pozwoliła mu pieścić się z dala. Potem do niego przyłgnęła.

- Śniło ci się coś?

W milczeniu pokręcił głową.

- Nie, nic - zamruczał.

- Powiedz, Guido - zajrzała mu w oczy - dlaczego my w ogóle tutaj jesteśmy? Co się stało, że dopuściłeś mnie do swojego terytorium? Dlaczego chciałeś mi pokazać swój dom?

- A dlaczego miałbym tego nie zrobić? Zaprosiłbym cię już wcześniej, ale dotąd raczej nie interesowałaś się tym, gdzie mieszkam. W ogóle zadawałaś mi mało pytań.

- Aha... - zawiesiła głos. Była prawie pewna, że gdyby zadawała więcej pytań, on by jej właśnie nigdy bliżej do siebie nie dopuścił.

Jej rezerwa i ograniczone zainteresowanie w tej chwili znów wydały mu się czarujące, w każdym razie intrygujące. Każda inna kobieta na jej miejscu, korzystając z tego, że zasnął przy niej po miłości, zaczęłaby na przykład myszkować po jego apartamencie. Lucy zaś nie ruszyła się prawdopodobnie z miejsca, trwała przy nim, jakby strzegła jego snu. Bardzo dziwna, niezwykła istota.

Nagle przyszło mu coś do głowy. Wiązało się to z jego małym bratankiem, który miał być niedługo ochrzczony i uznany za następcę książąt Mardivino.

A gdyby tak... - spojrzał na Lucy - A gdyby tak i ją włączyć w tę uroczystość? Zawieźć ją do Mardivino?

- Nie chciałabyś się ze mną wybrać gdzieś na weekend, *cara mia*? - zapytał.

Nie od razu odpowiedziała. Nie była pewna, do czego on może zmierzać.

- Weekend, mówisz? Czy ja wiem... A miałbyś coś konkretnego na myśli?

- Owszem - skinął głową. - Raczej tak. Po prostu Mardivino, mój mały kraj. Wybierzmy się właśnie tam.

Kompletnie ją tym pomysłem zaskoczył. Czyli, że coś miałoby się jednak między nimi pogłębić?

Teraz książkę gości ją w swoim domu, a w czasie weekendu chce jej pokazać swoją ojczyznę? Żywiej zabiło w niej serce. Mimo wszystko postanowiła nie pokazywać nic po sobie.

- No, może... - Założyła sobie kosmyk włosów za ucho. - I

czemuż to zawdzięczam taki zaszczyt, czemu mnie zapraszasz?

Wyczuł ironię w jej słowach.

- Po co ta ironia - zamruczał. - Zwyczajnie chciałem ci pokazać swoje rodzinne strony. Bez żadnych podtekstów.

Rozbroił ją tą prostotą. Pocałowała go w policzek.

- No dobrze. Rozumiem i doceniam to. I wobec tego nie sprzeciwiam się, dobrze, jedźmy.

Guido uśmiechnął się, zadowolony z siebie. Uznał, że udało mu się osiągnąć nawet więcej, niż mógł oczekiwać.

- A nie zechciałabyś... - zawiesił głos. - Nie zechciałabyś wziąć udziału w chrzcinach mego małego bratanka? Bo na taką uroczystość wybierałem się właśnie w ten weekend do Mardivino.

- Ja? W chrzcinach twego bratanka? Ale ja nie należę do rodziny?

- A jakie to ma znaczenie? W dzisiejszych czasach?

Szybko zamrugała powiekami. Do czego on właściwie zmierza? Czują, że atmosfera między nimi szybko się zagęszcza.

- Jesteś pewien, że chcesz, żebym ja...?

- Oczywiście, *cara mia*. - Poglaskał ją po nagim ramieniu. - I wobec tego będziemy też musieli wzbogacić jakoś twoją garderobę. Wybierzemy się na zakupy... Choćby jeszcze dziś, dobrze?

Zmarszczyła nos.

- „Wzbogacić moją garderobę”? I to zaraz? O co ci chodzi, Guido? Uważasz, że ja się jakoś źle ubieram?

Stropił się na moment.

- No nie, skądże. Zawsze wydajesz mi się *meravigliosa*,

cudowna. Masz świetny gust, bardzo lubię twoje ubrania... Nawet ten twój kapelusz stewardessy wydaje mi się przemiły.

Uśmiechnęła się.

- No to czemu chciałbyś mnie teraz jakoś na nowo ubrać?

- O... - Wzruszył ramionami. - Wiesz. Ponieważ to nie będzie taka zwykła impreza. Pojawią się przedstawiciele różnych domów panujących, więcej będzie szat i przebrań niż ubrań. Dlatego i tobie przydałoby się coś bardzo specjalnego. Coś, co ja ci chętnie zafunduję.

- Ty? - Uniosła brwi. Na razie nie miała ochoty uzależniać się od niego w żaden sposób. - Dlaczego ty? Ja też całkiem nieźle zarabiam i stać mnie od czasu do czasu na jakąś szalową kreację.

Zaśmiał się krótko.

- Szalową kreację! Wierzę, wierzę... - Przyjrzał jej się, przekrzywiając głowę. - Ale pozwól mi się jednak trochę porozpieszczać, Lucy. W patriarchalnym świecie książąt włoskich rozpieszczanie dam należy do dobrych manier. Pozwól mi być sobą. Co? Pokręciła głowę, sama na razie nie wiedząc, czy ma odmówić czy nie. „Patriarchalny świat książąt włoskich”, też wymyślił. Wreszcie westchnęła.

- No już dobrze, Guido. Bądź „sobą”. Pozwalam ci coś kupić biednemu kopciuszkowi, który wybiera się z tobą na wielki, książęcy bal. Miej tę satysfakcję.

Znowu się zaśmiał.

- Kopciuszek...! Humorystka z ciebie, Lucy. Ty jesteś raczej tygrysica niż kopciuszek. W każdym razie ja tak ciebie widzę.

Przymrużyła swe złote, kocie oczy.

- Wolisz mnie jako tygrysicę...? A wiesz, że nawet ci wierzę... Bo i sam nie jesteś byle kotkiem. Od początku wydawałeś mi się dużym drapieżnikiem, Guido... Na pewno złamałeś wiele damskich serc. A poza tym...

Nie pozwolił jej dokończyć. Szybkim ruchem obrócił ją na plecy.

- Jak tak - zamruczał - to i ciebie teraz zjem, teraz, zaraz. Zjem ciebie jeszcze raz. A potem - wsunął kolano między jej uda - a potem już pojedziemy na zakupy. I nie protestuj, *cara*, pamiętaj. Nie protestuj.

Lucy czuła się jak w jakimś filmie, krążąc z Guidem po najdroższych i czynnych w nocy magazynach Manhattanu. Zaczęli od działów bielizniarskich, gdzie sprzedawano rzeczy z najcieńszego jedwabiu, lamowane koronką zrobioną niemal z pajęczynki.

- Ale właściwie po co mi to - zastanawiała się półgłosem Lucy. - Po co ta bielizna?

Guido zaśmiał się.

- A ja? Nie bierzesz mnie pod uwagę? Otóż miałbym ochotę wystąpić u boku damy pod każdym względem nieskazitelnej. I o której to właśnie wiem.

- „Nieskazitelnej damy”! - prychnęła. - Ależ ty masz pomysły, Guido. Ty naprawdę jesteś księżę z bajki...

W kolejnych działach i magazynach skompletowali resztę garderoby, nader luksusowej, daytimej, nocnej, spodniej i wierzchniej. Nie zabrakło sukien, pięknych butów, stroików na głowę, naszyjników i tak dalej. Guido kazał to wszystko odsyłać na własny adres, do siebie,

do domu.

Kiedy wrócili do jego apartamentu, znów kochali się do upojenia.

Lucy, zasypiając bardzo późno w nocy, zastanawiała się przez moment, czym też się wypłaci księciu Mardivino za takie prezenty? Czy aby nie sprzedaje się w tej chwili za te wszystkie łąszki, czy nie traci wolności, której wołałaby nigdy nie utracić?

Nagle niezadowolona, obróciła się tyłem do Guida. Przysięgła sobie, że włoży te bogate stroje tylko na chwilę, w Mardivino, jak garderobę sceniczną. A potem niech Guido zrobi z tym, co zechce. Bo ona musi być przede wszystkim wolna.

O tak, Lucy Maguire bardzo ceniła sobie swoją wolność.

RS

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Spójrz tam w dół - powiedział Guido. - Już widać zarys wyspy. Widać Mardivino.

Lucy pochyliła się w stronę iluminatora, ale tak naprawdę bardziej absorbowала ją cały czas raczej bliskość Guida niż spodziewane widoki w dole.

Niemniej skupiła się na krajobrazie, który jej pokazywał. Jakoś zapomniała, że Mardivino to właśnie wyspa, wyspa, która teraz zbliżała się coraz szybciej i połyskiwała wzgórzami niczym klejnot na tle granatowego morza. W miarę tego jak samolot się obniżał, zaczęła rozróżniać drogi, plaże i nawet pojedyncze domy, uczezione malowniczych skał. Za lesistym zboczem ukazało się jej oczom jakieś miasteczko.

- To Solajoya, nasza stolica - wyjaśnił Guido. - Nie jest duża, ale ma katedrę.

- Ach tak - uśmiechnęła się. - Ma katedrę. No, „katedra” to zawsze brzmi poważnie.

Odwzajemnił jej uśmiech i zastanowił się, kiedy ostatni raz sam był na tej wyspie? O, raczej dawno temu. Jeśli tu wpadał, to tylko dlatego, żeby jego stary ojciec nie odsądzał go od czci i wiary. Bo poza tym nie odczuwał do swej ziemi szczególnego przywiązania. Czuł się raczej obywatelem świata... Ach tak, teraz przypomniał sobie: ostatnio odwiedzał Mardivino przy okazji ślubu brata, Nika, który zaskoczył

cały ród, biorąc ślub z tą małą Angielką.

No i konsekwencją ślubu były obecne chrzciny. Ella, która nadspodziewanie szybko wrosła w książęcą rodzinę, urodziła Nikowi synka, za którym wszyscy przepadali, a najbardziej kochał go stary, utytułowany dziadek.

A więc najmłodszy brat ma już potomka, który będzie może dziedzicem fortuny rodu. Nie wiadomo, czy jest to całkiem w porządku...

Kątem oka spojrzał na Lucy, piękną Lucy. Kto wie, jakie plany dałoby się z nią jeszcze związać? Na pewno teraz, podczas chrzcin, będzie mogła odgrywać, bez swojej wiedzy, rolę jego narzeczonej, czemu nie. Jej obecność przy nim odstraszy lokalne pretendenci do roli damy serca, i bardzo dobrze. Guido nie miał na razie ochoty na żadne bliższe związki ze swymi rodaczkami.

- Czujesz się... troszkę podekscytowana? - zapytał.

Skinęła głową. Ekscytacja to dobre, choć może za małe słowo, pomyślała. Bo tak naprawdę czuła się coraz bardziej... przerażona? Jak sprosta nowej sytuacji? Z racji uprawianego zawodu stykała się z bardzo różnymi ludźmi w wielu częściach świata, jednak tym razem miało jej się przydarzyć coś całkiem wyjątkowego. Znaleźć się w kręgu starej arystokracji: no właśnie, czy ona będzie się umiała wśród takich ludzi znaleźć?

Rozejrzała się po wnętrzu samolotu... Już i ten odrzutowiec ją onieśmielał. Była zawodową stewardesą, latanie to dla niej nic wielkiego, teraz jednak korzystała, dzięki fantazji księcia, z prywatnej



maszyny. O, to było coś zupełnie innego niż publiczny jumbo jet! Ten statek powietrzny był po prostu latającą salonką, superdrogim cackiem, w dodatku z nadskakującym personelem i tak dalej.

Jej książkę zachowywał się cały czas jak na księcia przystało, to znaczy nienagannie. Dawał wszystkim pokaz wprost nadzwyczajnych manier. Tu, przy załodze odrzutowca, traktował Lucy z dystansem, takim, jakby ich w ogóle nic nie łączyło. Wydawał się mistrzem pozorów, ale może to nie były tylko pozory? Bo w istocie cóż ich łączyło...? Nic, oprócz seksu. To znaczy jego z nią łączył seks, natomiast ona... ona jednak z całej siły musiała powściągać swe uczucia. Bo wiedziała, że jest bliska zakochania w tym pięknym, wyjątkowym mężczyźnie. Jak się w nim nie zakochać?

Silniki samolotu przycichły nieco i maszyna przechyliła się lekko na lewe skrzydło. Lucy spojrzała przez okno: no tak, podchodzili już do lądowania. Nerwowo poprawiła sobie włosy; strzepnęła jakiś pyłek z zakietu.

- Czy ktoś tam wyjdzie po nas? - zapytała.

- Przyślą tylko kierowcę - odrzekł. - Prosiłem brata, żeby nam nie urządzać żadnych komitetów powitalnych.

- A co, miał być komitet? - uśmiechnęła się.

- Gianferro lubi ceremonie i w ogóle pompę - odpowiedział uśmiechem. - To taki rys lokalny. Wiesz, Włosi wynaleźli kiedyś operę...

Skinęła głową. Przypomniało jej się, że widziała nie tak dawno w Wenecji *Orfeusza* Monteverdiego, rzecz bardzo starą i na pewno

włoską.

- Gianferro będzie miał wkrótce szczególną okazję do wykazania się pod tym względem - podjął Guido. - Chodzi o naszego ojca...

Uniosła brwi, czekając na dalsze wyjaśnienia.

- O ojca?

- Tak, nasz ojciec jest bardzo chory - sucho podsumował Guido. - Kiedy zgaśnie, nie obejdzie się oczywiście bez pompy i celebry. Pogrzeby książęce nigdy nie obywiają się bez celebry.

Lucy wzdrygnęła się. Że też on tak sobie ironizuje na temat własnego ojca. Czyżby go nie kochał?

Na razie nic nie wiedziała o tym, jak układały się stosunki w rodzinie Guida. Mogła jedynie podejrzewać, że po wczesnej śmierci matki, małemu księciu zabrakło ojcowskiej miłości. Nieraz tak bywa, że rodzina po prostu się rozpada, gdy odchodzi matka. I tak też mogło się zdarzyć przed laty w rodzinie Mardivinów.

Czarna limuzyna, która zabrała ich wprost z pasa startowego, powiozła ich do pałacu, który wydał się Lucy wprost bajeczny. Dotąd bywała w takich budowlach tylko w roli turystki, osoby płacącej za bilet, nieraz wkładającej muzealne kapcie, wysłuchującej perory przewodnika i tak dalej.

- I to jest właśnie twój dom? - zapytała. - Tu się urodziłeś i wychowałeś?

- Owszem. - Skinął głową. - Pałac ten nazywamy Tęczowym, z powodu pewnej starej, wielobarwnej mozaiki na plafonie w głównym westybulu. Zresztą zaraz ją zobaczysz.

- Uhm. - Przymrużyła oczy, obserwując z oddalenia zbliżający się kompleks zabudowań. - A powiedz... gdzie chodziłeś do szkoły?

Guido zaśmiał się.

- Do szkoły? Ja tu w ogóle nie chodziłem do szkoły. Zawsze mieliśmy jakichś guwernerów, wychowawców. To szkoła przyjeżdżała do nas.

No tak, pomyślała, ależ ze mnie gapa. Głupio zapytałam. Jakbym nie oglądała tych wszystkich filmów o księżętach i nie wiedziała, jak wygląda ich życie. Guwerner dla księcia: przecież to rzecz najzwyczajniejsza w świecie!

Podjechali pod kutą bramę, która zaraz zaczęła się automatycznie otwierać.

Po drugiej stronie poprowadził ich szpaler marmurowych posągów i obsypanych kwieciami tropikalnych drzew.

- Czy twoi bracia - zapytała, zerkając za szybę - nie mają nic przeciwko temu, że ja się tu pojawiam?

Spojrzał na nią krótko i nic nie odrzekł. Prawda była taka, że w istocie musiał z nimi ostro negocjować. Z Nikiem poszło mu niby nie tak trudno, bo Nico był szelma i kochał wszystkie kobiety, „nawet własną żonę”, co Ella znosiła z humorem. Nico ciekaw był kochanki brata i nawet się przez telefon odgrażał, że odbije Guidowi Lucy, jak tylko ją pozna. Gianferro był natomiast zasadniczy. Zawsze był taki. Zażądał wyjaśnień, kim właściwie jest ta Lucy Maguire i co Guida z nią łączy? Jeśli to dama podejrzanego konduity, to miejsca dla niej w Pałacu Tęczowym nie ma. Guido oczywiście wyśmiał staroświecki

język brata.

- Jednak wciąż pozostajesz księciem - replikował Nico - co zobowiązuje cię do postępowania we właściwy sposób. Jeśli Lucy nie jest twoją oficjalną narzeczoną, nie będziecie mogli zamieszkać tutaj w jednym apartamencie.

- W takim razie w ogóle nie przyjadę - rzucił do słuchawki Guido.

- Ależ musisz przybyć! - protestował Gianferro.

- Przecież to chrzciny twego bratanka.

- I ja też tak myślę - Guido uśmiechnął się.

- Wobec tego wybieraj: albo ja i Lucy Maguire, albo jednak nie ujrzysz mnie wcale.

Biedny starszy brat musiał skapitulować i to był już koniec rozmowy. Przynajmniej na razie.

- Nie, *cara* - Guido ucałował dłoń Lucy. - Moi bracia nie sprzeciwiają się twemu przybyciu. Absolutnie nie. Skądże.

Wiedział, że nagina prawdę, ale on sam nigdy nie nazwałby tego kłamstwem, już prędzej dyplomacją. Czasem dobrze jest nie mówić ludziom przykrych rzeczy; lepiej powiedzieć coś, co zechcą usłyszeć z przyjemnością.

Limuzyna zatrzymała się przed głównym portalem pałacu i zaraz jak spod ziemi wyrosło paru lokajów w liberiach. Guido wdał się w krótki dialog z najbardziej ozdobnym z nich, może majordomusem. Rozmowa toczyła się po francusku.

Potem zwrócił się do Lucy:

- Chodźmy. Nasze apartamenty już czekają. A z moją rodziną zobaczymy się potem, przed kolacją. Zwłaszcza Gianferro chce cię poznać.

Pomyślała, że ton, jakiego teraz użył, bardziej kojarzy jej się z rozkazem niż z zaproszeniem. Dziwne. W końcu to głównie melodie wytwarzają znaczenia. Ale cóż, Guido najwyraźniej nawykł do bycia księciem. Żyje niby w demokratycznym świecie, jednak czym skorupka za młodu nasiąknie... On się chyba nigdy nie pozbedzie manier, które mu wpojono w tym pałacu. Zarówno w dobrym, jak w złym sensie.

I przypomniało jej się też to, co powiedział jej kiedyś przyjaciel Gary, jej angielski kolega z pracy oraz współlokator, zresztą gej:

- Lucy - mówił - nigdy z siebie nie rezygnuj. Pamiętaj, że jesteś godna miłości i szacunku. Pamiętaj o tym!

No tak, łatwo mu było to powiedzieć. Jednak czasem trochę trzeba ustąpić ze swej godności, gdy można przez to coś osiągnąć... Ale co ja właściwie chcę teraz osiągnąć? - zastanowiła się Lucy.

- No to świetnie, chodźmy - zgodziła się i wysiadła z limuzyny.

Weszli do pałacu. Guido poprowadził ją szeroką galerią, ozdobioną posągami i obwieszoną mnóstwem starych obrazów. Dotarli do małego patio, z szemrzącą fontanną, obsadzonego pnącymi różami.

Lucy przystanąła, chłonąc całe to piękno.

- Podoba ci się? - zapytał ją. - Ale musiałaś już widzieć takie pałace. Przecież sporo podróżowałaś po świecie.

- Tu jest jednak wyjątkowo pięknie. - Przeniosła na niego

rozjaśniony wzrok.

Wzruszył ramionami.

- Mnie się to wszystko opatrzyło. Wiesz - rozejrzał się - spędziłem tu ileś lat. Przywykłem traktować ten wielki dom jak każdy inny.

- Chyba cię rozumiem. - Skinęła głową. - Dla arystokraty jego pałac jest tym, czym bywa chata dla biedaka. Tak?

Uśmiechnął się.

- No, może prawie. Z lekką przesadą, ale to jednak trafne.

- Mnie pozwól się tutaj czuć odświętnie. - Zanurzyła dłoń w fontannie. - Ja w takich miejscach bywałam dotąd tylko jako turystka, płacąca za wstęp.

Guido zaśmiał się.

- Jasne, oczywiście. Zresztą i teraz wyglądasz jak turystka. W tych lnianych spodniach i w tiszercie... Stanowczo nie przypominasz żadnej damy dworu.

Spojrzała po sobie.

- Co, może ci się nie podobam? Potem przebiorę się w te szaty, który mi kupiłeś. Ale teraz, póki co, chcę jeszcze być sobą.

- Ależ podobasz mi się, podobasz... No chodź już - wyciągnął do niej dłoń - ruszajmy do pokojów, które nam przydzielili.

Poszli dalej korytarzami pałacu, które wydawały się puste, niemniej Lucy cały czas miała wrażenie, jakby ich ktoś obserwował. Może jestem przewrażliwiona, pomyślała. Albo istnieją tu jakieś kamery...? Dyskretnie rozejrzała się wokół siebie, lecz nic nie dostrzegła.

Apartament, do którego zaprowadził ją Guido, był bladobłękitny w tonacji i z lekka stylizowany historycznie. Ledwie zatrzasnęli za sobą drzwi, Guido wziął ją w objęcia i zaczął rozluźniać pasek od jej spodni.

- Co robisz? - zamruczała. - Tak od razu...? Nie wiem, czy powinniśmy... Może ktoś nas tutaj obserwuje... Nie ma tu jakichś kamer?

- Też coś! O ile wiem, nigdy nie było.

Pomyślała, że może niesłusznie nie stawia oporu? On przecież tak lubi opór... Zbyt łatwo pozwoliła sobą manewrować, całkiem jakby była lalką. Cóż za brak woli i strategii!

Dwa guziczki odprysły od jedwabiu i potoczyły się po marmurowej posadzce. Guido zaśmiał się gardłowo.

- Tygrysica z ciebie, Lucy! Nie mówiłem, że tygrysica?

Podniecił ją ten gardłowy głos. Nie czekając na zachętę, przywarła ustami do jego ust. Pomogła mu się rozebrać, na oślep. Po chwili nadzy byli już oboje.

- Ale czy przynajmniej - oderwała się na chwilę - czy przynajmniej zaniknąłeś dobrze drzwi?

- *Si* - szepnął jej do ucha. - Zadbalem o to.

Sycili się sobą oboje w coraz bardziej szalonym rytmie. Wreszcie Guido wybuchł jak wulkan.

Po miłosnych uniesieniach Lucy wstała i pozbierała swoje rzeczy. W salonie łazienkowym - bo tak by go wypadało nazywać - podziwiała przez chwilę drogocenną armaturę, marmury, lustra i pnącą roślinność, którą ozdobiono okno. Puściła wodę w kabinie,

postanawiając, że następnym razem skorzysta z obszernej jak mały basen wanny.

Teraz jednak spieszyła się. Nie była pewna, czy zdąży dobrze wysuszyć długie włosy ani czy tramie skomponuje, w pośpiechu, elementy stroju. Nie powinna była ulegać namiętności Guida, nie teraz. To znaczy ani jego namiętności, ani własnej.

No a Guido, zastanawiała się dalej, już susząc sobie włosy. O co właściwie jemu chodzi w tym związku z nią? Dlaczego ją tu w ogóle przywiózł? Jest im razem dobrze w łóżku, to oczywiste, ale dlaczego są razem tutaj, w Mardivino?

RS



## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Jego Wysokość Książę Gianferro Miguel Cacciatore.

Lucy, usłyszawszy tę zapowiedź majordomusa, podniosła się z fotela. Czuła się podekscytowana. Za chwilę miała zobaczyć regenta tego księstwa, prawdziwego władcę, nie kogoś takiego jak Guido, który był po prostu biznesmenem, choć w jego żyłach płynęła błękitna krew.

Gianferro, mężczyzna o urodzie nie mniej imponującej niż Guido, wszedł do komnaty audiencyjnej. Przywitał się z Guidem i z Lucy, która grzecznie dygnęła (widziała kiedyś na filmie, jak się to robi).

- Miło mi was gościć - odezwał się Gianferro. - Mam teraz właściwie sprawę tylko do panny Maguire... Drogi bracie, nie zostawiłbyś nas na chwilę samych?

- Samych? Z jakiego powodu?

- Ach, nic wielkiego. Na pewno nie chodzi tu o żaden spisek - uśmiechnął się Gianferro. - Ale pamiętasz chyba naszą rozmowę telefoniczną...?

Guido umknął na moment wzrokiem.

- No dobrze - westchnął. - Skoro nalegasz... To ja pójde w tym czasie przywitać się z moim małym bratankiem.

Ruszył ku wyjściu, ale przy drzwiach, już z ręką na wysokiej klamce, zatrzymał się.

- Kiedy skończycie tę... pogawędkę, zechciej skierować Lucy do

pokoju dziecięcego, dobrze? Ja tam będę na nią czekał.

Gianferro skinął głową.

- *Si, mio fratello, bene.*

Guido wyszedł, Gianferro zaś podszedł do okna. Stał bokiem, spoglądając to na zewnątrz, to w stronę Lucy.

- Jest pani osobą rzadkiej urody - uśmiechnął się łaskawie. - No tak... Pragnąłbym jednak wiedzieć, co właściwie łączy z panią mego brata?

Dlaczego jego samego o to nie zapytasz? - przebiegło przez głowę Lucy. Już wiedziała, że nie czeka jej tutaj żadna zdawkowa konwersacja.

Wybrnąć z sytuacji pomógł jej wieloletni trening stewardesy. W końcu zdawała egzaminy z wiedzy o tym, jak sobie radzić z niezbyt uprzejmym rozmówcą.

Najlepszy w takich sytuacjach bywa łagodny żart.

- Może jestem po prostu jakąś... zachcianką Guida? - Dygnęła znowu. - Nie sądzi Wasza Wysokość? Księżęta mają prawo do zachcianek.

Regent zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie zmarszczył brwi.

- Zachcianką, mówi pani? Ale ta zachcianka trwa już chyba od roku?

- O, księżę zna aż takie szczegóły? Czy to Guido się księciu zwierzał?

- On? Nie, niekoniecznie.

Ach tak, niekoniecznie. Czyli że starszy brat ma po prostu jakichś

szpiegów na świecie. I te służby specjalne obserwują Guida oraz donoszą o postępach jednego z Mardivinów? Nagle zapragnęła wziąć Guida w obronę.

- My się spotykamy bardzo rzadko - powiedziała. - Z uwagi na naturę mojej pracy.

- Na naturę pani pracy? I chyba ze względu na jego... naturę?

Zetknęły się ich spojrzenia. Gianferro najwyraźniej sygnalizował, że Guido nie należy do natur stałych i w związku z tym nie warto liczyć na bliższy związek z nim.

- Niewykluczone - skinęła głową i westchnęła. - Może i ze względu na jego naturę.

- Uhm... Czyli stanowicie więc tak zwana nowoczesną parę. - Zaplótł ramiona na piersi. - I po prostu jesteście kochankami.

Zaróżowiła się nieco.

- Czy ja wiem... Może nie „po prostu”? Ale poza tym rzeczywiście tak. Jest tak, jak Wasza Wysokość raczył stwierdzić.

Gianferro założył ręce do tyłu i przeszedł się wzdłuż komnaty, po czym znowu stanął przy oknie.

- No dobrze, ale nie wątpię, że w głębi serca żywi pani nadzieję, iż kiedyś awansuje jednak do roli... księżny Mardivino?

Zaskoczyła ją obcesowość tej sugestii. Oraz zawarte w niej domniemanie, że jest jakąś łowczynią utytułowanych mężów.

Utytułowanych oraz bogatych.

Dumnie uniosła podbródek.

- Nie jestem kopciuszkiem ani sierotką Marysią - odrzekła. - Nie

marzy mi się zaden książę z bajki... Ale powiem tak: gdyby połączyła nas z Guidem miłość, wtedy mogę być nawet księżną Mardivino. Lecz akurat same tytuły wcale mnie nie nęcą. Nie w dwudziestym pierwszym wieku.

Gianferro niespodziewanie uśmiechnął się. Czyżby spodobała mu się ta odpowiedź?

- W porządku. - Uniósł gestem obronnym dłonie. - Rzeczywiście, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Nie da się temu zaprzeczyć.

Na tym enigmatycznym stwierdzeniu poprzestał. Chyba nabrał przekonania, że Lucy nie zagraża jego bratu. Że w istocie jest może tylko jego przelotnym kaprysem? Bo przecież niemożliwe, aby Guido zakochał się w jakiejś... stewardesie.

Książę podszedł do drzwi, sygnalizując, że audiencja jest skończona. Klasnął w ręce i drzwi uchyliły się.

- Miło mi było panią poznać - zwrócił się do Lucy.  
- I mnie było miło, Wasza Wysokość. - Posłusznie dygnęła.  
- Mój szambelan pokaże pani teraz drogę do pomieszczeń dziecięcych.

Ruszyła za dworzaninem, który poprowadził ją szerokim korytarzem, ozdobionym, jak wszystkie tutaj, posągami i obrazami.

W jasnej komnatce dziecięcej od razu natknęła się na Guida, który spacerował właśnie ze swym małym bratankiem w ramionach. W głębi pomieszczenia stali rodzice dziecka, Nico i Ella. Lucy zauważyła, że Ella ma piękne, bujne, blond włosy. Ciekawe, że zwłaszcza południowcy tak chętnie wybierają sobie na żony blondynki.

Lucy spojrzała na Guida. Mężczyzna z dzieckiem na ręku zawsze wydawał jej się jakimś cudem natury... Owszem, lekarz pediatra to w takim przypadku nic niezwykłego, czy pastor podczas obrzędu chrztu. Ale normalny, „męski” mężczyzna, jak Guido, kołyszący czule niemowlę, to jednak był widok dziwnie odświętny.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu rozczenia. Jednak Guido nie odpowiedział na jej uśmiech. Obrócił się w stronę Elli i Nica:

- Pozwólcie, że przedstawię wam Lucy Maguire - rzucił chłodno.
- Właśnie wraca z prywatnej pogawędki z Gianferrem.

Czyżby był na nią o coś obrażony? O tę prywatną audiencję, bez jego udziału? No nie, co za nonsens. Przecież to jego starszy brat chciał z nią rozmowy w cztery oczy, to nie był jej, Lucy, pomysł.

Postanowiła zignorować chłodny ton Guida.

- Słodki dzidzius - uśmiechnęła się ponownie i podeszła bliżej, nachylając się nad dzieckiem. - Naprawdę rozkoszny. Do schrupania. Mały aniołek.

Księżna rozpromieniła się, bo która matka potraktuje obojętnie zachwyty nad jej dzieckiem?

Zrobiła dwa kroki naprzód i także nachyliła się nad maleństwem.

- Ja jestem Ella, a to jest mój mąż, Nico.

Księżę Nico, choć młodszy od Guida, bardzo był do niego podobny. Wysoki, muskularny, czarnowłosy i czarnooki, mógłby uchodzić niemal za bliźniaka swego starszego brata.

- *Enchante* - odezwał się z francuska i ujął dłoń Lucy, podnosząc ją do ust.

Bardzo ją zaskoczył tym szarmanckim powitaniem. Właściwie chyba jeszcze nikt nigdy jej nie witał tak po rycersku. I to *enchante*, jak z jakichś romansów salonowych.

Nico wciąż jeszcze nie puszczał jej ręki.

- A więc to jest ta piękna i odważna Lucy Maguire - powiedział, spoglądając w stronę Guida.

- Odważna? - Lucy uniosła brwi. - Dlaczego miałabym taka być?

- Bo trzeba niemało odwagi, by dotrzymać placu naszemu najstarszemu bratu regentowi - uśmiechnął się Nico.

- No i cóż ci tam nagadał Gianferro? - wtrącił się Guido.

Uznała, że najlepsza będzie tutaj odpowiedź dyplomatyczna.

Wzruszyła ramionami.

- Pokonwersowaliśmy trochę kurtuazyjnie. I to wszystko.

Popatrzyła na Ellę i zastanowiła się, czy i ona została kiedyś tak potraktowana? Jednak Elli mogło być łatwiej, bo Nico ją kochał.

Natomiast co do uczuć Guida...

Znowu przyłapała się na tym, że właściwie nie wie, po co on ją tutaj w ogóle zaprosił. W jakiej roli? Czy tylko jako „kobietę do łóżka”? Wszystko to jest naprawdę bardzo dziwne, uznała.

Spróbowała skupić się na dziecku.

- Jak się to maleństwo nazywa? - zapytała. - Wymyśliliście już imię?

- O tak! - zaśmiała się Ella. - I to niejedno. Na pierwsze będzie miał Leo, czyli Leonardo. Na drugie Amadore, a na trzecie Constantinos.

- Pięknie. - Lucy skinęła głową. - Czy mogę trochę potrzymać waszego synka?

- Ależ oczywiście - zgodziła się księżna. - Guido... - zwróciła się do swego szwagra. - Podaj Lea Lucy.

- Zdaje się, że lubisz dzieci? - odezwał się Nico.

- Pewnie, że lubię - zgodziła się. - Jak chyba większość kobiet.

- Chyba...? - zawiesił głos Guido, przekazując jej malca.

- No tak. - Ostrożnie przejęła niemowlę. - Bo przecież feministki wolą czasem naśladować mężczyzn, niż mieć dzieci.

Sama na pewno nie była feministką, chociaż rozumiała, że ktoś musi się zatroszczyć o równe prawa jej płci, wciąż łamane na świecie. Jako stewardesa wiele bywała w krajach arabskich, gdzie kobiety wciąż uważane są za gorszy rodzaj ludzi.

Teraz jednak nie miała głowy do polityki. Zajął się po prostu małym następcą tronu... Jakże słodki wydał jej się zapach niemowlęcia! Dzidzius wyczuł instynktem, że trzyma go kobieta, bo zrobił taki ruch, jakby chciał szukać piersi. Lucy spojrzała po obecnych i nie wiadomo czemu zawstydziała się.

- No dobrze już, dobrze - uśmiechnęła się Ella. - To będzie chyba jego pora, daj, może go już nakarmię. - Łagodnie przejęła synka od Lucy. - Zrobię to teraz, bo potem mamy przecież ten „bankiet państwowy”, tak go chyba nazwał nasz Gianferro?

Bankiet państwowy? Lucy zdumiała się. Więc to ma być coś aż tak oficjalnego? Guido mówił tylko o jakiejś „kolacji”... Poszukała jego spojrzenia, ale jej książkę błędził oczami gdzieś poza jej osobą. Po

chwili dyskretnie ziewnął.

Kiedy weszli do sali bankietowej, nagle pogratulowała sobie tego, że pozwoliła Guidowi zaopatrzyć się w odpowiednią garderobę. Kreacje zgromadzonych dam z całego świata znacznie przekraczały to, co normalnie widuje się podczas przyjęć.

Cóż, ona sama wystąpiła w dość skromnej, choć ładnie dopasowanej sukience z czarnej satyny, uwydatniającej jej wąską talię, kształtne biodra i wypukły biust. Włosy upięła wysoko, odsłaniając długą szyję i gładkie ramiona. Widziała, że podoba się swemu księciu, choć nadal pozostawał on jakiś dziwnie zdystansowany... Dlaczego jej audyencja u Gianferra wywołała w nim aż taką dezaprobatę?

Dystans między nimi powiększył się, wręcz dosłownie, kiedy okazało się, że przy stole mają siedzieć z dala od siebie. Dlaczego ich rozdzielono? Cóż to za dziwne prawa obowiązują w tym kraju?

Po chwili uznała, że chyba nic nie wymyśli, nie przeniknie tajemnic Mardivino. Zajęła się więc obserwacją sali, wspaniale udekorowanej, pełnej kwiatów i lusterek, oraz współbiesiadników, którzy ją otaczali. Przedstawił jej się jakiś hrabia, siedzący z lewej strony, starszy mężczyzna, lecz bardzo szarmancki i dowcipny. Stuknęła się z nim kieliszkiem szampana.

Ukradkiem obserwowała Guida, ku któremu nachylały się różne panie, na wyścigi starając się przyciągnąć jego uwagę, kokietując go i uwodząc.

Zabolało ją, że tak się dzieje, ale ostatecznie jakie miała do niego prawa? Żadnych.



Guido poczuł na sobie wzrok Lucy. Zastanowił się, dlaczego ich wzajemne stosunki, tak proste dotąd, pokomplikowały się, odkąd przybyli do Mardivino? Co jemu samemu zaczęło nagle zawadzać w tej kobiecie? Czy chodziło o to, że skupiła na sobie uwagę jego braci? Co do Gianferra, oficjalnie „potępiał” on status Lucy. Nieoficjalnie był nią jednak zafascynowany, to oczywiste. A teraz, tutaj... Teraz jego Lucy śmieje się i przepija do jakiegoś starego lwa salonowego! No nie, to jest nieznośne! Inni mężczyźni też przyglądają jej się łakomie.

Poczuł, że jest już do żywego rozeźlony. Gwałtownie odstawił kieliszek wina, omal nie rozlewając jego zawartości na cenny obrus. Przy tym świadomy był, że jakoś dogadza mu cała ta jej niezależność i wymykanie się. Nadal mu dogadza! Bo przecież pobudza w nim emocje łowcy... Żadna z dam należących do lokalnej socjety i otaczających go w tej chwili nie zdobyłaby się na jej suwerenność... Jakże nudziły go te nadskakujące mu obywatelki Mardivino.

Lucy zauważyła, jak mieni się twarz Guida. Widziała też, jak on ku niej intensywnie popatruje. Uśmiechnęła się w jego stronę, nie przestając jednak konwersować ze starym hrabią.

Ten jej uśmiech, mogący sygnalizować dobre samopoczucie, pogłębił w nim rozdarcie. Bankiet od tej chwili zaczął być dla niego ciężką próbą. Po którymś z toastów wykorzystał zamieszanie na sali, aby zbliżyć się na chwilę do Lucy.

- Czemu jesteś taka wesoła? - spytał przyciszonym głosem. -  
Może byśmy sobie stąd poszli? Chciałbym być z tobą już tylko we  
dwoje.

Spojrzała z ukosa. Od paru godzin ją ignorował, co więc znaczą te nagłe zaloty? I o co mu właściwie chodzi, czy po prostu o łóżko? Jeszcze raz? Teraz, zaraz? Rozejrzała się: akurat zaczyna grać muzyka, a więc będzie bal. Dlaczego księżę nie zaprosi jej raczej do tańca?

Poprawiła włosy.

- Guido, słyszę pięknego walca, może byśmy raczej zatańczyli? Dlaczego chcesz, żebyśmy wyszli?

Rozzłościł się do reszty. Tańców jej się zachciało! Przecież nie przylecieli tu z Ameryki na tańce!

- Słuchaj, naprawdę lepiej chodźmy. Okropnie mnie nudzi cały ten „bankiet państwowy”. A ciebie nie?

- Mnie? - Uniosła brwi. - Mnie się wszystko bardzo podoba.

Uznał jej reakcję za prowokację. Chwytał Lucy pod ramię i mocno pociągnął ku sobie.

- Aj! - zawołała. - Guido, co robisz? Zreflektował się. Rozejrzał na boki.

- No cóż - westchnął. - Porywam cię do tańca... Skoro tak bardzo chcesz tańczyć.

Dlaczego mu się nie wyrwała? Dlaczego pozwoliła mu tak sobą dyrygować? Czy dlatego, że on tu był naprawdę u siebie, a ona nie? Lecz kto elegancki w taki sposób traktuje gościa? Zwłaszcza kobietę?

- Guido - mówiła, idąc za nim w stronę parkietu. - Co ty właściwie wyrabiasz... Czego ty ode mnie chcesz?

Objął ją w tali i zaczął prowadzić w powolnym walcu.

- Czego chcę? - zapytał. - Chcę... z tobą tańczyć walca.

Odchyliła się i spojrzała nań z ukosa. Nic nie odpowiedziała.  
Jednak po paru obrotach była już owładnięta jego obecnością.  
Czar Guida nieodmiennie na nią działał.

- Ty nie tańczysz - pochyliła się ku niemu - ty mnie tym walcem uwodzisz.

Nie mógł się nie uśmiechnąć. Przyciągnął ją do siebie i obrócił się wraz z nią w przeciwną stronę.

- Ale nie masz nic przeciwko temu, prawda? Lubisz, żebym cię uwodził, co?

Wdychała jego zapach i czuła, jak coraz szybciej bije jej serce. No tak, on znów myśli tylko o seksie, a ona zaczyna mu w tym wtórować. Jaka szkoda, że nie mają sobie nic więcej, poza tym jednym, do zaoferowania.

Uznała, że nie będzie się jednak skarżyć, nawet własnym myśлом.

- To prawda - uśmiechnęła się. - Lubię, jak mnie uwodzisz... I nawet chętnie rozebrałabym się tu dla ciebie, teraz, zaraz... Tylko zrób coś, żeby wszyscy najpierw wyszli.

Zaskoczyła go tą nagłą fantazją. Poczul gwałtowny przyływ żądz. Ta dziewczyna ma naprawdę talent do miłości, to znaczy do kochania się. A taka jest po wierzchu niby chłodna. Czy raczej bywa.

- Lucy - zanurzył nos w jej włosach - nie prowokuj mnie, bo zobaczysz...

- Dlaczego nie prowokować? - Ugryzła go lekko w szyję. - I co zobaczę?

Guida przeszył dreszcz. Z trudem się opanował. Co ta kobieta z nim wyrabia? O, warto by ją mieć przy sobie zawsze, zawsze, na wszelkie okazje... Lecz jak tego dokonać?

Wyjściem byłoby małżeństwo - w jego głowie pojawiły się nagle takie słowa. Ale gdy się pojawiły, natychmiast go otrzeźwiły. No nie, przecież nie mógłby się ożenić ze stewardesą! Nie on, księżę Mardivino.

Lucy zajrzała mu w oczy.

- Nad czym się tak zastanawiasz, Guido?

- Nie, nie, nad niczym. - Umknął jej ze spojrzeniem. - Wiesz... - wykonał z nią nowy piruet - wiesz, jak się skończy ten walc, zostawię cię chyba temu hrabiemu, z którym konwersowałaś... Coś mi się przypomniało i będę musiał wyjść.

- Przypomniało ci się coś? Musisz wyjść? Ale po co, dokąd?

- Nie, to nic takiego... A ty, jak będziesz miała dosyć balu, daj mi znać. Może zadzwoń na moją komórkę. Odprowadzę cię wtedy do naszych apartamentów.

Kończyła taniec, zawiedziona. Słowa, które przed chwilą wypowiedział jej kochanek, nie brzmiały obiecująco. O co mu w ogóle chodzi, skąd te jego zmienne nastroje? Dlaczego się tak dziwnie zachowuje, odkąd przylecieli do Mardivino? Cóż to za kapryśny człowiek, ten księżę... Cóż, jednak księżęta mają prawo do kapryśnów...

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka w małej, lecz budzącej respekt katedrze przy głównym rynku Solajoi Lucy uczestniczyła w uroczystości chrztu książątka Lea. Miała na sobie elegancki, oliwkowozielony kostium, na głowie zaś malowniczy, czarny kapelusz, przyozdobiony piórami. Do mszy śpiewały dwa chóry i grały organy. Świątynia zgromadziła cały dwór i gości ze świata. Miejscowi obywatele zmuszeni byli świętować na zewnątrz. Stary książę nie przybył na chrzest, ponieważ, jak o tym mówił Guido, było z nim już naprawdę źle i niemal nigdy nie opuszczał swych pomieszczeń w pałacu.

Mimo oficjalnego charakteru ceremonii czuło się, zwłaszcza w pobliżu baptysterium, że jest to także spotkanie rodzinne. Jak w każdym kręgu ludzi sobie bliskich, rodzice, ciotki i wujowie wymieniali pełne rozczenia uśmiechy, gdy dzieciątko, polane wodą w czasie celebry, zaczęło wierzgać i popłakiwać.

Dziwne, że dopiero po uroczystości, na zewnątrz, w blasku słońca, gdy zgromadzone tłumy zaczęły

wiwatować, gdy zagrały fanfary i z daleka zagrzmiały salwy honorowe, że dopiero wtedy dotarło do Lucy, że bierze udział w czymś naprawdę wyjątkowym, czymś o randze państwowej.

Z okazji chrztu wydano w pałacu obiad, który jednak był o wiele mniej wystawny niż wczorajszy bankiet. Lucy umieszczono obok pewnej lokalnej piękności o imieniu Sasza, młodej kobiety o oliwkowej

cerze i ciemnych oczach. Sasza okazała się bardzo uprzejma, знаła kilka języków i z zaciekawieniem próbowała się wywiedzieć, kim jest Lucy, skąd pochodzi i co robi w życiu.

- Nie do wiary - powiedziała w którejś chwili - że księżę Guido zechciał panią pokazać rodzinie. Chyba po raz pierwszy przybył na dwór z kobietą.

Lucy nie wiedziała, jak zareagować na tę rewelację. W końcu uznała, że najlepiej będzie się po prostu uśmiechnąć.

Wczorajszego wieczoru, odprowadzona do apartamentów przez Guida, bynajmniej nie próbowała obłaskawiać księcia. Skoro on narzucił im niespodziewany dystans, ona gotowa była ten dystans podtrzymywać. Choćby po to, żeby Guido nie pomyślał sobie, iż może mieć ją na każde skinienie.

Ale, rzecz charakterystyczna, jej rezerwa i tym razem podziałała na Guida stymulująco. Z minuty na minutę był coraz bardziej czarujący, zaczął głaskać jej włosy, mówić jej, że bardzo pięknie wygląda, aż wreszcie zaprowadził ją do łóżka, przysiadł obok niej, gdy się rozbierała, i sam też się zaczął rozbierać... Skończyło się nowymi pieszczotami i tym, że kochali się intensywnie aż do rana.

Przy tym wszystkim Lucy wciąż nie wiedziała, czym jest właściwie to, co przeżywają? Czy rzeczywiście tylko seksem...? Guido potrafił być kochankiem tak czułym i wynalazczym, że określenie „seks” nie bardzo tu pasowało, jako zbyt... kliniczne. Lucy na pewno nie czuła się z księciem „klinicznie”. Było jej rajsko, zachwycająco, cudownie... A więc czym jest to, co ze sobą przeżywają?

Dlaczego musiała się uwikłać w związek z mężczyzną tak zmiennym, a na dodatek niedosiężnym, na dłuższą metę? I dlaczego nie potrafiła, nie zechciała trzymać swych uczuć na wodzy? Próbowwała być zdystansowana jak on, ale przecież wiedziała, że to tylko pewna gra. Bo tak naprawdę jej serce mocno biło dla tego niezwykłego, pięknego mężczyzny.

- A więc gdzie się poznaliście? - Sasza trąciła swym kieliszkiem jej kieliszek. Obie piły białe wino.

- Gdzie? Podczas pewnego przyjęcia - obudziła się z zamyślenia Lucy. - To było w Nowym Jorku.

- Aha, tam. - Sasza skinęła głową. - Guido bardzo lubi Nowy Jork. Nie wiem, czy pani wie, że spędzał tam młodość, wychowywany po śmierci matki przez jej siostrę.

Lucy uniosła brwi.

- Nie, nie wiedziałam tego. Sasza przyjrzała jej się.

- Nie wiedziała pani? - uśmiechnęła się lekko.

- To naturalne... Guido niełatwo się zwierza. Jest człowiekiem dość zamkniętym.

- A pani go dobrze zna?

- Ja? No tak. My się właściwie znamy całe życie. - Sasza zamyśliła się. - Jeszcze jako dzieci bawiliśmy się po prostu ze sobą. Jesteśmy kuzynami, ale dość dalekimi.

Lucy obserwowała jej twarz. Co ta kobieta próbuje jej w podtekście powiedzieć? Że jest blisko z Guidem? Czy też... wystarczająco daleko? Z kuzynami może być różnie, zwłaszcza właśnie

z „dalekimi”.

Sasza skinęła na kelnera, aby jej i Lucy dopełnił kieliszki.

- Znam Guida do tego stopnia - uśmiechnęła się

- że mogę z czystym sumieniem powiedzieć, iż w pani znalazł o niebo lepszą partnerkę niż w swoich poprzednich przyjaciółkach... Tak, tak. - Pokiwała głową.

Lucy stropiła się. Uwaga taka jak ta nie nadawała się właściwie do komentarza. Przez chwilę milczała. Jednak przemogła się w końcu:

- No a cóż to były za „przyjaciółki”, jeśli można wiedzieć?

- A, takie tam. - Sasza pociągnęła łyk wina.

- Typowe blondyny z dużym, plastikowym biustem. Ostatnią z nich widziałam przy nim... chyba jesienią?

Lucy poczuła raptem, że ma suche wargi. Szybko umoczyła usta w kieliszku z winem. Jesienią? Jak to? Przecież już od zeszłej wiosny Guido jest z nią i tylko z nią? Czyli, że ją zdradzał? Był z nią i z tymi plastikowymi lalkami? A to podlec.

Przez moment walczyła z tężającymi mięśniami twarzy. Jednak wieloletni trening stewardesy pozwolił jej przewyciężyć impas. Przecież nie da odczuć kuzynce Guida, że jej rewelacje ugodziły ją. A niech sobie książkę robi, co zechce! Wielcy panowie zawsze miewali zachcianki. To jasne, że on ma prawo być naraz z wieloma kobietami. I słowo „zdrada” jest zatem w ogóle nie na miejscu.

Swoją drogą warto by go zapytać o tę jego skłonność do partnerskiej „poligamii”. Bo Guido...

Tok jej myśli coś nagle zakłóciło. Ach tak, to sam Guido pojawił



się nagle przy niej, jakby przyciągnięty jej myślami.

- I jak samopoczucie, *cara mia*? - odezwał się, pochylając do jej ucha. - Jak się dzisiaj bawisz?

Nie odważyła się spojrzeć mu w oczy. Skupiła wzrok na jego śnieżnym gorsie i na szafirowym krawacie. Dziś do garnituru dobrał sobie właśnie jedwabny, szafirowy krawat, tak morski w kolorze, jak to morze, które pobłyskiwało za oknami pałacu.

- No, właściwie nieźle. - Odruchowo poprawiła mu krawat. - Całkiem nieźle - powtórzyła.

- Nieźle? Czyli dobrze ci beze mnie...? - zdziwił się, przeciągając zgłoski. - Naprawdę...? A ja bym tam wołał, żeby ci było beze mnie źle. Żebyś mnie stale potrzebowała, *cara mia*.

Nie wiedziała, co na to odrzec. Zajrzała mu w oczy.

On uśmiechnął się.

- Może byśmy się już stąd wymknęli? Okropnie nudne są te ceremonie dworskie. Nie masz ochoty na jakąś małą sjęstę?

- Ale przecież to będzie niegrzeczne, jak teraz znikniemy.

Wszyscy to zauważą.

- E, nic nie zauważą. Uznają, że wybraliśmy wcześniejszy wypoczynek. Włosi przyzwyczajeni są do sjęsty.

Jemu nie chodzi o żadną sjęstę, to raczej oczywiste. Wiadomo, o co. No, ale dobrze... Owo rychłe spotkanie mogłoby być okazją do pogadania o tych jego blond seksbombach. Będzie, oj, będzie o czym pogadać!

Wzruszyła ramionami.

- No dobrze. Więc pójdziemy na tę sjęstę... Ale jesteś pewien, że twój brat i bratowa nie obrażą się na nas za zniknięcie?

- Nie bój się, na pewno się nie obrażą.

Po deserach wymknęli się zatem, podążając marmurowym labiryntem korytarzy do swych apartamentów. Lucy znowu miała wrażenie, że jest skrycie obserwowana. Ale może była to kwestia luster, których widziała tutaj tak wiele? Mnóstwo było w tym starym pałacu lśnienia, magii i błysków.

Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Guido od razu ją objął. Pocałował ją, a potem pomógł jej zdjąć wielki, fantastyczny kapelusz i własnoręcznie rozpuścił jej długie włosy, wyjmując z nich po kolei wszystkie szpilki.

- Czy mówiłem ci już, jak pięknie dziś wyglądałaś? - zamruczał.

Gotowa była się poddać nowej fali pieszczot, jednak zgadywała, że znów uwiedziona przez tego pięknego mężczyznę, może stracić wątek i zapomnieć o pytaniach, jakie pragnęła mu zadać.

Łagodnie wyswobodziła się z objęć Guida. Podeszła do otwartego okna, za którym widać było różany ogród, a w nim szereg pięknych posągów. Kwitły też właśnie brzoskwinie i morele; wszystkie kwiaty wydychały z siebie oszałamiające wonie.

Kto by pomyślał, przebiegło jej przez głowę, że ona, zwykła Lucy, znajdzie się kiedyś w tak bajecznym miejscu, i to nie gdzieś w tłumie zwiedzających, lecz jako jedna z domowniczek? Domowniczek przynajmniej na chwilę.

Odwróciła się i poszukała jego spojrzenia. Stanowczo przyszła

pora na poważną rozmowę. Choć może niekoniecznie od razu o tym, jak to było w jego życiu z tymi blondynkami...

- Słuchaj, Guido. - Założyła kosmyk włosów za ucho. - Po co... po co mnie tutaj właściwie przywiozłeś? Mógłbyś mi to wyjaśnić?

- Jak to po co? - Podszedł do niej. - Myślałem, że spodoba ci się w Mardivino. Chciałem, żebyś zobaczyła moje rodzinne strony. Dlatego tu przylecieliśmy. Myślałem, że to dla ciebie oczywiste.

Przekrzywiła głowę.

- Na pewno właśnie o to ci szło? I o nic więcej? Przez chwilę milczał. Stał obok niej przy oknie i wpatrywał się w ogród.

- Piękne te róże - odezwał się wreszcie. - Ciągłe są piękne. Jak przed laty. A co do ciebie... - Obrócił głowę. - Miałem ochotę mieć cię przy sobie.

- Mieć przy sobie - odpowiedziała jak echo. - No tak. Ale w jakim celu?

Włożył palec za kołnierzyk, aby poluzować krawat. Nie był pewien, czy ona zrozumie i zaakceptuje to, o co mu naprawdę szło.

- Widzisz, moje pobyty tutaj, zresztą nieczęste, wywołują różne komentarze, rodzą pytania...

Spojrzała pytająco.

- Komentarze i pytania? O czym ty mówisz, co masz na myśli?

Westchnął.

- No dobrze, powiem wprost. Dwór i mieszkańcy tej wyspy chcą ożenić nareszcie mnie i Gianferra. Zwłaszcza teraz, gdy najmłodszy z naszej trójki, Nico, ma już nie tylko żonę, ale i potomka... Musisz

wiedzieć, że istnieje ileś lokalnych kandydatek na moją ewentualną narzeczoną... Jak będzie z moim starszym bratem, nie wiem, natomiast ja...

- Czekaj... - Zmarszczyła brwi. - Czy ja się dobrze domyślam? Przywiozłeś mnie tu po to, żebym... ewentualnie odstraszała swoją obecnością jakieś lokalne kandydatki na twoją żonę, tak?

Niezadowolony, pokręcił głową.

- No nie, to nie całkiem tak! Bardzo upraszczasz sprawę.

- Czyżby! - Już wiedziała, że on nie zaprzeczy. Najwyżej zechce kluczyć, coś niby precyzować, a w istocie kłamać... I poczułaby się teraz zdradzona, gdyby nie to, że... no właśnie, gdyby nie co? Otóż to, że słowo „zdrada” nie ma przecież między nimi sensu. Bo przecież nic ich właściwie nie łączy. To znaczy jego z nią nie łączy... Poczula nagle abstrakcyjną urazę.

- Słuchaj, czy jesienią, kiedy już byłeś ze mną, sypiałeś jeszcze z jakimiś blondynkami?

Przestał się mocować z krawatem, który próbował zdjąć i spojrzał na nią z ukosa.

- Że co? Z kim?

- Chyba słyszałeś, o co pytam? - Skrzyżowała ramiona. - Pytam, czy we wrześniu albo w październiku sypiałeś jeszcze z jakimiś innymi kobietami?

Ściągnął przez głowę swój szafirowy krawat i cisnął go na łóżko.

- A cóż to za nagłe przesłuchanie? I w ogóle jak śmiesz...!

Nie dała się zbić z tropu.

- Tak czy nie? Zdradzałeś mnie? Mierzyli się przez chwilę wzrokiem.

- W porządku - skrzywił się i oparł łokciem o parapet. - Może i tak było. Ale to przecież nie miało żadnego...

- Żadnego znaczenia - dokończyła za niego. - Wy, mężczyźni, zawsze tak mówicie. Sypiacie z kobietami i oczywiście „nie ma to żadnego znaczenia”, gdy pytają inne kobiety. Bo one wszystkie są tylko waszymi zabawkami...

Nic nie odrzekł. Obserwował za oknem grę światła i cieni w ogrodzie.

A ona usłyszała siebie mówiącą:

- Zdradziłeś mnie, Guido! Taka jest prawda. Zdradzałeś mnie!  
Zdziwiła się, że te słowa pojawiły się w jej ustach. I że jednak „zdrada” wchodzi w rachubę. Guido uderzył pięścią w parapet.

- Ależ ja cię wtedy prawie nie znałem! Od wiosny do jesieni widzieliśmy się może ze dwa razy?

- Jednak zdążyłeś spać ze mną - poskarżyła się.

- Niby tak - westchnął. - Ale czego to dowodzi? Niczego ci przecież nie przyrzekałem. Nie byłem też twoim pierwszym mężczyzną... Nawet nie umawialiśmy się ze spotkania na spotkanie, pozostawiając rzecz przypadkowi... Chyba pamiętasz?

Musiała się zastanowić. Naprawdę się nie umawiali? Ach tak, jak przez mgłę dotarło do niej, że miała jesienią serię dalekich rejsów, z przesiadkami w różnych miejscach globu. On ją łapał przez telefon komórkowy, sam też podróżował, we własnych sprawach; spotykali

się, gdy ich drogi się krzyżowały. Mogło to wyglądać na jakąś grę, toczoną z losem. Albo na grę, którą toczyli ze sobą.

Przypomniało jej się, że ta gra obojgu dosyć się podobała... Guido, polując niejako na nią, zaspokajał swój męski instynkt myśliwego. Ona zaś czuła się przy tym, jak przy zabawie w chowanego. Nie dawała się zbyt łatwo wytropić i „zaklepać”. Bawiła się z nim w kotka i myszkę.

Przypomniała jej się także pewna charakterystyczna rozmowa z tamtego okresu.

- Mogłabyś przynajmniej raz sama do mnie zadzwonić - usłyszała kiedyś przez telefon.

- Wciąż jestem strasznie zajęta - tłumaczyła się.

- Nie wie-erzę - Guido przeciągał głoski. - A ja za tobą tak tęsknię...!

Pochlebiało jej wtedy to, że książkę za nią tęsknił. Książkę! Było to tak, jakby jakaś bajka szła za nią i chciała jej się sama opowiedzieć...

No a teraz...? Teraz okazuje się, że Guido po prostu ją wtedy zdradzał!

Spojrzała na niego bez przyjaźni.

- Była tylko jakaś jedna blondynka, czy miałaś więcej?

- Daj już spokój z tym przesłuchaniem - skrzywił się. - Jeśli jednak musisz wiedzieć, to dobrze, powiem ci: była tylko jedna.

Zadowolona...?

Tak, na swój sposób była zadowolona. Mogłaby powiedzieć, że trochę jej ulżyło. Jednak cichutka nadzieja, z którą przybywała do

Mardivino, że mianowicie on zechce przedstawić ją swojej rodzinie, by „zalegalizować” jakoś ich związek, otóż ta nadzieja zdawała się rozsypywać w gruzy.

Westchnęła.

- Źle mnie traktujesz, Guido... I mam na myśli nie tylko tamtą jesień. Także to, że teraz miałabym odgrywać przy tobie rolę jakiegoś stracha na wróble, straszaka na te twoje ewentualne narzeczone...

- Pokręciła głową. - Nie podobam się sobie w takiej roli!

- Ależ... - próbował łagodzić. - Jakiego znów stracha na wróble.

To zła metafora. Przecież ty jesteś piękna, więc jaki strach na... - Urwał i wyciągnął do niej rękę. - Chodź do mnie i zapomnijmy już o naszym sporze. Odstraszanie za pomocą piękna nie powinno być karalne. Nie staraj się mnie ukarać, Lucy.

Potrząsnęła głową.

- Nie, Guido, tak łatwo tego nie zakończymy. Ty mnie jednak źle potraktowałeś. Dlatego... - rozejrzała się - dlatego mam chęć jak najszybciej stąd wyjechać.

- Co takiego? - Uniósł wysoko brwi. - Wyjechać?!

- Właśnie tak - odpowiedziała cicho. - I nie tylko opuścić

Mardivino... Powinnam się też wynieść w ogóle z twojego życia, Guido.

Patrzył na nią osłupiały.

- Co ty wygadujesz? - Podeszedł do niej. - To chyba jakaś twoja gierka, co? Ale ja nie mam ochoty grać w takie gierki... Słuchaj, gdybyś naprawdę chciała wyjechać, to czemu nie, mogę ci to ułatwić...

Jednak nie będę za tobą gonił, nie licz na to. Takie rzeczy nie są w moim stylu.

Wiedziała, że takie rzeczy nie są w jego stylu. Jednak nie bawiła się z nim w tej chwili w żadne gierki. Była nie wiadomo czemu w bardzo poważnym nastroju, w nastroju śmiertelnie poważnym.

- Nie chcę, żebyś za mną gonił. Załatw mi tylko wyjazd z wyspy. Ściągnął brwi.

- Uhm... - odezwał się z namysłem. - Więc jednak. Chcesz koniecznie zrobić z igły widły... Ale niech będzie, jak chcesz. I załatwię ci ten wyjazd, czemu nie!

Odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

Kiedy drzwi trzasnęły, Lucy wzdrygnęła się i zagryzła wargi, żeby powstrzymać płacz. Właściwie nie bardzo wiedziała, dlaczego sprawy przybrały nagle taki obrót. Sytuacja wymknęła jej się spod kontroli. Wdał się w to wszystko jakiś zły duch!

Poniewczasie gotowa była siebie przeklinać za to, że spowodowała awanturę. Doprawdy: jakaś ciemna siła kazała jej postąpić tak, jak postąpiła. I oto skutek jest taki, że właśnie oboje się rozstali. Być może rozstali się na zawsze. O losie, przeklęty losie!

Ale może to wszystko przez to, przebiegło jej przez głowę, że jest stewardesą? No tak, bo stewardesy nie mają odruchu przewidywania katastrof. Wolą być przez nie zaskakiwane. I bywają. Tak jak teraz...

Nie przewidziała skutków sprzeczki z Guidem. O nie, to nie mogło jej wyjść na zdrowie.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wpatrywała się z taką intensywnością w niebieski szlaczek na ścianie, jakby to mogło coś zmienić w jej życiu. Czowała, że jest w tej chwili na granicy hysterii. Z trudem nad sobą panowała.

Położyła rękę na wciąż płaskim brzuchu. W poczuciu przeżywania jakiejś nierzeczywistości. Czy to możliwe, żeby naprawdę była w ciąży?

Po chwili obróciła głowę, bo dosłyszała jakiś ruch za drzwiami. Czyżby to Gary, jej współlokator, wrócił z miasta? Tak wcześnie?

Nie ma wątpliwości, to był on.

- Hej, Lucy, jesteś tam? Nerwowo oblizwała wargi.

- Jestem, jestem.

- Aha. No dobra. Ale nie siedź za długo, bo ja mam dziś wyjście i też chciałbym się upiększyć.

Normalnie rozbawiłaby ją taka uwaga. Nie wiadomo czemu śmieszyło ją to, że geje, jak Gary, używają szminek i tak dalej.

Dziś jednak nie było jej do śmiechu. Niestety nie, bo znalazła się w poważnej sytuacji.

Swoją drogą jej kolega, steward z tej samej linii, ma lepiej w życiu! Jest gejem, czyli że nie grozi mu ciąża. Ani jemu samemu, ani jego partnerowi. O tak, to jest dużo wygodniejsze!

Wyszła z wanny i wytarła się. Było jej trochę niedobrze. Wczoraj też jej było niedobrze. I przedwczoraj.

Teraz już wiedziała, z jakiego powodu.

Otwierając drzwi, omal nie zderzyła się z Garym. On obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Coś ostatnio marnie wyglądasz, Lucy... - zastanowił się na głos.  
- Jesteś blada... Chorujesz na coś? Boli cię coś?

- Mnie? Nie, skąd.

Gary zajrzał do łazienki ponad jej ramieniem.

- Czegoś zapomniałaś - zauważył. - Aha, to o to chodzi. Robiłaś sobie test... Jesteś w ciąży, tak?

Obejrzała się. Rzeczywiście, w roztargnieniu zostawiła na podłodze pudełeczko z testem. Wróciła, schylając się po pudełko.

A Gary dalej indagował.

- I z kim, nie powiesz mi? Czekał, chyba się domyślam... Z tym twoim księciem, tak?

Przysiadła na brzegu wanny. Ciężko westchnęła.

- Tak, z nim - przyznała. - Od roku byłam tylko z nim.

Gary przysiadł obok i objął ją ramieniem, jak dobra siostra.

- I co teraz zrobisz? - Przytulił ją.

Dawno powstrzymywane łzy popłynęły z jej oczu strumieniem.

- Nie wiem... - załkała. - Zupełnie nie wiem.

- No, nie przejmuj się tak - uspokajał ją. - Na początek chyba po prostu zawiadomisz swego księcia o tym, co się stało?

- Chyba rzeczywiście powinnam. Tak.

- No widzisz. I nie ma tragedii. Po co płakać? Razem obmyślicie, co z tym zrobić.

Jednak były powody do płaczu. Bo któż mógł wiedzieć, jak zareaguje księżę Mardivino? Guido bywał przecież nieobliczalny. Być może zostawi ją samą z dzieckiem. Albo każe jej się go pozbyć.

*Lucy.*

Imię to wyświetliło się w jego telefonie komórkowym. Lecz Guido miał ochotę zignorować sygnał.

Dlaczego? Bo żarzył się w nim jeszcze ciągle gniew na nią. Gniew spowodowany tym, że ona miała czelność go zostawić, gdy żadna kobieta przed nią nigdy tego nie zrobiła? Albo dlatego, że z jej powodu miał sobie coś do wyrzucenia, a Guido nie lubił czuć się niewygodnie? O tak, nie lubił tego. W jego obyczaju było płynąć przez życie, biorąc z niego to co przyjemne i omijając rzeczy, które choćby z daleka załatywały komplikacją.

Lecz nawet gniew i wszystkie te wątpliwości nie były w stanie stłumić zaciekawienia nagłym telefonem Lucy.

Dlaczego zadzwoniła, gdy przedtem zapowiedziała, że rozstają się raz na zawsze? Czyżby pożałowała swoich słów? Na przykład dlatego, że przypomniało jej się, jak im było razem dobrze i... chciałyby cofnąć czas?

Nie, to chyba nie to. Guido wiedział, że Lucy jest zbyt dumna, aby próbować takich rzeczy. Szanował jej dumę; w ogóle szanował dumę jako rzadką cechę wśród ludzi. A więc o co jej może chodzić?

Wcisnął guzik telefonu.

- *Si?* - zapytał.

- Mówi Lucy...

- Wiedziałem, że to ty - powiedział miękko. Milczała chwilę, zastanawiając się, jak mu przekazać wieść, która raczej mu się nie spodoba.

- I co tam u ciebie? - podjął Guido. - Dawno się nie słyszeliśmy. Ani nie widzieli...

- Właśnie - wpadła mu w słowo. - Nie widzieliśmy się. A ja chciałam się z tobą zobaczyć.

Przełożył aparat z ręki do ręki. Dlaczego w jej głosie nie ma czułości? Chce mnie widzieć, ale właściwie o jakiego rodzaju widzenie jej chodzi?

- Gdzie w tej chwili jesteś? - spytał.

- W Anglii. Ściągnął brwi.

- Aha. A kiedy się zjawisz w Nowym Jorku?

- Nie zjawię się.

- Więc...?

Prawie usłyszała dalszy ciąg tego pytania: *...więc po co do mnie dzwonicz?*

- Dzwonię do ciebie z domu - powiedziała.

Wzięła głębszy oddech, bo poczuła nową falę mdłości. Od jakiegoś czasu mdłości trapiły ją prawie co dzień. Przecież mu nie objawi, że nie przyleci, bo nagle poznała, czym może być choroba lokomocyjna. Do licha, jak mu powiedzieć...? Może najprościej: Guido, jestem w ciąży.

- Guido, jestem w ciąży - odezwała się.

Na dłuższy moment zapadło między nimi milczenie.

On po raz pierwszy w życiu poczuł się dziwnie bez pomysłu. Zupełnie nie wiedział, jak zareagować. Co się mówi wtedy, gdy kobieta oznajmia, że jest w odmiennym stanie?

- Jesteś pewna? - rzucił w końcu głucho. Roześmiałyby się, gdyby nie chciało jej się w tej chwili płakać. Oczywiście on spróbuje ją zbyć. Typowe.

- Czego pewna? Że jestem w ciąży czy że z tobą? Na oba pytania odpowiedź brzmi „tak”.

Znów na kilka chwil zapadła cisza.

- No dobrze. - Guido odchrząknął. - To jaki jest twój adres...?

Aha, więc może jednak nie próbuje jej zbyć niczym? Ale adres... Czyżby nie znał jej adresu? Dziwne, tyle czasu byli ze sobą, a on nawet nie wie, jaki jest jej adres.

- Western Road pięć, Brentwood - odpowiedziała.

I od razu wyobraziła sobie jego minę, gdy on zobaczy ją w tak skromnym miejscu, nieporównywalnym z jego nowojorskim penthouse'em, ani tym bardziej z pałacem w Mardivino.

Guido znów odchrząknął.

- To będę jutro - rzucił krótko.

Po tych słowach natychmiast się rozłączył.

Jakiś czas spoglądała na aparat. Nic więcej nie miał jej do powiedzenia? Widać nie. Ale może to i lepiej. Rozmowa w ogóle mogła się przekształcić w nową awanturę; ostatecznie przebiegła dość ulgowo. To lepiej... Rzecz zdumiewająca, jak łatwo mężczyźni

przerzucają na kobiety odpowiedzialność za bezpieczeństwo seksu. Jakby sami brali w tym tylko uboczny udział. W ogóle mężczyźni są okropni.

Odłożyła słuchawkę aparatu i rozejrzała się dokoła. Cóż, pół bliźniaka, który zajmowała z Garym, na pewno nie było luksusowym penthouse'em ani pałacem... Ale można to przynajmniej doprowadzić do połysku, pomyślała.

Wysłuchała się w siebie: mdłości chyba jej już minęły...? W takim razie do roboty!

Poszła do schowka po odkurzacz. Wielkie sprzątanie dobrze jest zacząć od zwykłego odkurzania.

Wrócił do domu Gary i zamarł na progu.

- Co to? - spytał. - Odprawiasz jakąś pokutę? Skąd to wielkie sprzątanie?

Lucy, która właśnie na kolanach czyściła dywan, podniosła głowę.

- Dlaczego zaraz pokutę? Kobiety od czasu do czasu robią porządki, nie wiedziałeś tego? Ty też mógłbyś czasem poodkurzać nasz dom.

- Ależ ja odkurzam, bądź sprawiedliwa! A teraz chodzi mi tylko oto, czy ci ta wielka robota nie zaszkodzi na zdrowie.

- Co nas nie zabija, to nas wzmacnia - uśmiechnęła się blado.

- Uśmiechasz się - ucieszył się Gary. - No, czyli nie jest tak źle...

Ale powiedz mi, kiedy przyjeżdża ten twój książę?

Podniosła się z kolan.

- Wczoraj mówił, że dziś. Ale dokładnie o której, tego nie wiem.

- Dziś? A to pech. Czyli że go nie zobaczę. Bo dosłownie za chwilę wylatuję do Singapuru. A taką miałem ochotę - Gary zrobił zalotną minę - miałem ochotę poznać w życiu choć raz prawdziwego księcia.

Znowu się uśmiechnęła. Jej kolega naprawdę umiał być zabawny.

Do południa mieszkanie lśniło już czystością. We wszystkich flakonach stały kwiaty, a meble pachniały pastą do politur, którą je Lucy odświeżyła. Do kompletu mogłaby jeszcze upiec jakieś ciasto, wtedy pachniałoby wszędzie jeszcze ładniej, ale tu już zabrakło jej motywacji. Ostatecznie nie przygotowywała się do sprzedania tej połówki podmiejskiego domku. Ani też nie chodziło o to, by sprzedać samą siebie, jak pomyślała. Nie było powodu, żeby się zanadto umizgać do Guida.

Nie wiedziała jeszcze, jak porozmawia z księciem. Na pewno jednak nie będzie go o nic prosić. Co to, to nie. Na to nie pozwoliłaby jej duma...

Myśl jej się urwała, bo właśnie zadźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych. Czyżby Gary wracał? Zapomniał czegoś? A może to już sam Guido? Zaskoczona, poprawiła włosy. Miałby to być on? Tak wcześniej?

Po drugiej stronie drzwi Guido rozglądał się po podmiejskiej uliczce, wciskając po raz drugi dzwonek. Nigdy wcześniej nie był w takim miejscu. Skromne, identyczne szeregowce ciągnęły się w lewo i

w prawo. Było to dość nudne. Zza rogu wyszła jakaś młoda matka, popychając spacerówkę z dzieckiem.

Zanim zdążył przyjrzeć się malcowi, drzwi przed nim się otwały.

Zdziwiony skonstatował, że Lucy nic się nie zmieniła, że jest nadal kształtna i piękna. No tak, przecież nie mogła zgrubieć w ciągu paru zaledwie tygodni... Nie zmieniła się? No, niekoniecznie. Bo jednak, jak zauważył, była jak nigdy blada i miała podkrążone oczy.

- Witaj - powiedział krótko. - Wpuścisz mnie?

Zaprosiła go gestem. Nie odczuła na jego widok większych emocji... Bo niczego szczególnego się po nim nie spodziewała. Jak każda kobieta wolałaby się oczywiście poczuć „zaopiekowana” przez swojego mężczyznę, ale nie mogła przecież liczyć na tego arystokratycznego playboya. Niemniej winna mu była spotkanie, podczas którego powinni coś postanowić względem owocu ich gorących nocy.

Poszedł za nią w głąb domu. W drzwiach niebiesko-żółtego saloniku odruchowo schylił głowę, tak tu było nisko. Właściwie poczuł się jak w domku dla lalek. Kiedyś, bardzo dawno temu, był z matką w pewnym muzeum w Norymberdze, gdzie obejrzał cały dział mieszkańek dla lalek, urządzonych w różnych stylach, od klasycyzmu do modernizmu.

- Siadaj. - Lucy wskazała mu w pokoju z kominkiem fotel obok małego stolika. - Masz chęć na kawę?

Pokręcił głową.



- Nie, dziękuję za kawę... Lepiej przejdźmy od razu do rzeczy.  
Powiedz, w którym jesteś tygodniu?

- W którym? Tego jeszcze dobrze nie wiem.

- Jak to? - Uniósł brwi.

- No, nie wiem. Ale to się da sprawdzić.

- Nie byłeś jeszcze u lekarza?

- Nie.

Założył nogę na nogę, wyraźnie niezadowolony.

- Ale czy... czy jesteś w ogóle pewna, że...?

- Tak. Zrobiłam sobie testy. Jestem pewna, niestety.

- Uhm. A powiedz mi, czy... to sobie może jakoś zaplanowałaś?

- Co niby miałam zaplanować?

- No, dziecko ze mną.

Zaszumiało jej w głowie. O czym on bredzi? Osunęła się na fotel naprzeciwko niego.

- Jak to? - zapytała cicho. - Ty myślisz, że może ja... że chciałam cię złapać w pułapkę? Nie bądź śmieszny, Guido. Takie rzeczy nie są w moim stylu.

Nic nie odpowiedział. Złączył czubkami palce obu rąk, opierając łokcie na poręczach fotela.

- Wiem, kiedy nam się to mogło przytrafić - powiedział cicho. - Pewnie wtedy, w Mardivino. Zaraz na początku. Nie zapytałem cię, czy bierzesz pigułki, a sam też... - Wykonał nieokreślony ruch ręką.

Tak, on sam wtedy zachował się najbardziej nieodpowiedzialnie. Czuł to. On, dla którego ceremonie tyle w życiu znaczyły, wziął wtedy

Lucy bez ceremonii! Nie ma co się tego wypierać.

- Od wtedy do dziś mija - zastanowił się - prawie trzy miesiące.

Dobrze liczę?

Trzy miesiące? Może on chce zasugerować, że... że jeszcze czas na aborcję? Zebrała się w sobie.

- Guido, ja chcę urodzić to dziecko. Bez względu na to, co ty o tym sądzisz.

Akurat pomyliła się co do jego sugestii. Ponieważ leciał tu z Nowego Jorku pełen obaw, że może to właśnie Lucy nie zechce urodzić... jako kobieta nowoczesna i pracująca.

Po tym, co mu teraz powiedziała, poczuł ulgę.

- W porządku, w porządku - zamruczał. - Ja też bym chciał, żebyśmy mieli to dziecko.

- Też...? - Przyjrzała mu się podejrzliwie. - Jesteś tego pewien? Zachnął się.

- Innej możliwości w ogóle nie brałem pod uwagę!

Momentalnie odprężyła się. Ale za wcześnie, jak się miało okazać. Ponieważ Guido dał teraz pokaz odstręczającej pychy, oczywiście arystokratycznej:

- Dziecko, w którego żyłach płynie szlachetna krew, nie mogłoby się nie urodzić.

Zmarszczyła brwi.

- W żyłach każdego dziecka płynie szlachetna krew.

- Tak uważasz? - uśmiechnął się ironicznie. - Zresztą, mniejsza z tym. Nie warto się spierać... Podejźmy do tego praktycznie.

Skrzywiła się, zaciskając usta. On zaś mówił dalej:

- Właściwie dobrze się składa, że akurat jesteś w ciąży... Tak, tak. Bo widzisz, w tym momencie moje dziecko może mieć szansę na sukcesję w Mardivino... Otóż gdyby Gianferro nie miał potomstwa, a może nie mieć, wiem coś o tym... - Urwał i podniósł się z fotela. Zaczął chodzić po saloniku. - Następny wedle starszeństwa jestem ja. I moje, to znaczy nasze dziecko... - spojrzał na Lucy - może usunąć w cień małego Lea. To naturalne. Rozumiesz, co mówię?

Od paru minut czuła narastający ból w skroniach. Ależ on kalkuluje! Jakby już układał plan przewrotu pałacowego... Tylko nic nie wspomina o uczuciach... Czy to maleństwo ma być jedynie pionkiem w jakiejś grze o władzę? Nie będzie kochane, a jedynie... użyteczne?

- Guido, nie dziel skóry na niedźwiedziu. Formalnie nie jesteśmy nawet parą, ty i ja... Zresztą o ile wiem, dzieci ze związków morganatycznych - bo tak się to chyba nazywa? - nic nie dziedziczą.

Spojrzał na nią bystro. Po czym wrócił na swoje miejsce i usiadł.

- Może nie będzie tak źle - powiedział. - Wszystko się dziś liberalizuje, i arystokratyczne kodeksy też. Popatrz no, co się dzieje w tej twojej monarchii brytyjskiej... Na początek... - znów złączył końce palców - na początek trzeba cię sprowadzić do Mardivino. Żebyś tam mogła urodzić. A potem zobaczymy, co dalej.

- Jak to? - Uniosła brwi.

- Oczywiście, że tak - uśmiechnął się z lekka. - A co, moje dziecko miałoby przyjść na świat gdzieś tu, w jakimś dzielnicowym

szpitaliku? Już ja wiem, jak działają te wasze angielskie kasy chorych!

Ból w jej głowie narastał.

- Guido, ty chyba ogóle nie wiesz, co mówisz.

- Bardzo dobrze wiem! I dlatego nie próbuj mi się sprzeciwiać. -

Uniósł ostrzegawczo palec.

- Ale... Ale ty sam prawie nie bywasz na tej swojej wyspie?

Chcesz mnie tam osadzić, a co z tobą? Przecież ciebie nie obchodzi twój arystokratyczny ród, tak mi kiedyś mówiłeś. Jesteś biznesmenem, obywatelem świata. I tylko z pochodzenia księciem.

- Owszem, to prawda - przyznał. - Tak mówiłem. Ale sytuacja się zmienia, więc... - Urwał.

Lucy pokręciła głową i westchnęła. Jak to możliwe, żeby tak szybko wycofał się ze swych poglądów? Co w istocie zaszło, że odżywa w nim tradycjonalista?

Poza tym zaproszenie do zamieszkania w Mardivino, które usłyszała, wydało jej się jakieś niewyraźne... Bo niby na jakich prawach miałyby się tam znaleźć? „Potem zobaczymy, co dalej”, powiedział. No właśnie, i co miałyby być dalej?

- Słuchaj, Guido... Wcale nie jestem pewna, czy chcę porzucić Anglię.

- Nie, nie, tu w żadnym wypadku nie możesz zostać! - stwierdził z naciskiem. - Urodzić musisz tam. Ale nie tylko to... Będziemy też musieli oczywiście zalegalizować status dziecka.

Lucy poruszyła się. Aha, czyli ma jakiś pomysł na to „dalej”.

- Zalegalizować? - spytała. - Co masz na myśli?

- Otóż to, namyśliłem się teraz... Powinnaś za mnie wyjść, *cara*.  
Niestety.

Zrobiło jej się równocześnie zimno i gorąco. A więc ma zostać żoną księcia? „Niestety”... Mówi „niestety”, bo oczywiście jej nie kocha i gotów jest się ożenić wyłącznie pod naciskiem okoliczności.

Takich oświadczeń wolałaby nie przyjąć.

- Nie, nie chcę z twojej strony żadnych ofiar. Umknął ze spojrzeniem.

- Ale tak musi być! - wycedził. - Moje dziecko musi mieć legalnego ojca.

Pulsowało jej w skroniach, czuła, że oślepia ją blask tego dnia. A więc to migrena... Rozwijiała się cały czas. Lucy bardzo chciałaby zasłonić okna i położyć się gdzieś na chwilę sama.

- Guido, ja proszę...

- Nie sprzeciwiaj mi się, Lucy - przeciął szorstko. - Tu idzie nie tylko o ciebie czy o mnie. Jest do wygrania coś znacznie więcej niż my, bo pewna konstelacja w moim księstwie... I czuję, że nie wolno mi nie wykorzystać takiej szansy.

Nikt z polityką nie wygra. Lucy przeczuwała, że nie ma już dla niej odwrotu. Zostanie więc księżną Mardivino, dobrze. Spełni się to, o czym kiedyś zresztą marzyła... Tak, tylko że ona marzyła o złotej bajce, tymczasem to, co ją czeka, bajką nie jest.

Czym jest? Być może koszmarem.

Teraz czuła, że koszmarnie boli ją głowa i że to, co spotka ją w najbliższych miesiącach, może być bardzo podobne do tego bólu

głowy.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Mieli się pobrać w Mardivino na początku jesieni. Planowali skromną uroczystość, ograniczoną tylko do grona najbliższych.

Rodzice Lucy, gdy zjechali już na wyspę, nie poczuli się tu dobrze, to było widać. I ja też nie czuję się tutaj dobrze, żebyście wiedzieli - rozmyślała, towarzysząc matce i ojcu.

Jedynie Benedict, brat Lucy, wydawał się od początku wesoły.

- Wygrałaś los na loterii, siostrzyczko! - pogadywał. - Podoba mi się ten twój książę. To równy facet.

Miał powody, by chwalić Guida. Ponieważ przyszły szwagier zabrał go zaraz na wstępie w rejs luksusowym jachtem dookoła wyspy, a załoga tego jachtu była płci żeńskiej i w dodatku bardzo urodziwa.

Guido oczarował Benedicta, oczywiście. On przecież potrafił być czarujący. Szkoda, że samej Lucy nie próbował już czarować. Od kiedy została jego oficjalną narzeczoną, traktował ją dosyć lekceważąco, a nawet z góry.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji palnął jej mowę na temat obowiązujących w pałacu manier, wyjaśniając też, jaka powinna się czuć szczęśliwa z tego powodu, że wchodzi do rodziny o książęcych korzeniach.

Lucy zrozumiała, że jest na przegranej pozycji. To ona, nie on, znalazła się teraz w pułapce! Jednak dla dobra dziecka gotowa była wszystko znieść.

Równocześnie Guido uznał, że muszą spisać przedślubną intercyzę. I od razu pierwszy paragraf dokumentu przewidywał, że w razie ich rozwodu dziecko pozostanie w Mardivino.

- Jak to! - protestowała. - Na taki punkt nie mogę się zgodzić. Absolutnie!

- Ale takie są obyczaje w naszym rodzie - wyjaśniał Guido. - Ja się z tobą zresztą nie zamierzam rozchodzić. Ale i ty nie próbuj żadnych sztuczek, bo wtedy stracisz prawa matki.

Usiłowała telefonicznie zasięgnąć opinii prawników brytyjskich, lecz dowiedziała się tylko tyle, że ze starą arystokracją, jak z mafią, nikt nie wygra. Ci ludzie są zbyt ustosunkowani, no a do tego bajecznie bogaci.

Zrezygnowana, dotrwała jakoś do dnia ślubu.

I oto nadszedł ten dzień, nieradosny, a przy tym wietrzny, typowo jesienny. Z drzew odtruwały już liście, gdy jechała z ojcem karetą do katedry.

- Wielkie nieba! - Ojciec wychylił się z okna.

- A toż to jakieś tłumy czekają na ciebie tam, przed kościołem! Popatrz tylko.

Rzeczywiście, na plac przed świątynią przybyły wielkie rzesze ludzi. W ich twarzach widać było szczerą radość; dziewczęta rzucały pod koła pojazdu garście kwiatów. Wznoszono przyjazne okrzyki.

- Trzymaj się, córeczko! - Ojciec ścisnął Lucy za przegub. -  
Trzymaj fason, jak na księżnę przystało.

- Trzymam się - zamruczała. - A wiesz czemu? Bo cały czas wyobrażam sobie, że to mi się tylko śni albo że oglądam jakiś film.

Suknię do ślubu miała w kolorze kości słoniowej. Kolor ten lepiej niż biel pasował do jej kasztanowo-rudych włosów, uznała. W biel nie chciała się też stroić z tego powodu, że przecież nie była już niewinną panienką. O ciąży wiedziała i jej rodzina, i rodzina pana młodego. Zresztą wszyscy wiedzieli; lokalna gazeta jawnie spekulowała wokół tego, czy stan odmienny panny młodej zaczął się w jej okresie narzeczeńskim, czy może znacznie wcześniej...?

Jej suknia miała krój prosty; sięgała ziemi. Krawcowa naszyła na nią garść prawdziwych pereł. Lucy narzuciła sobie na ramiona pelerynkę z jedwabnego szyfonu. W upięte włosy wplotła kwiaty moreli. Na stopy wsunęła dobre kolorem szpilki na tak wysokim obcasie, że gdy szła, wzrostem prawie dorównywała Guidowi.

W nawie katedry rozłożono purpurowy dywan. Droga do ołtarza wydała się Lucy prawie tak długa, jak pas startowy na lotniskach (wciąż miewała skojarzenia związane ze swą profesją). Czekający na końcu dywanu Guido powitał ją ciemnym spojrzeniem.

- Wszystko w porządku?

On sam przeżywał lekki niepokój, bo nie był pewien, czy jego narzeczoną nie zechce się rozmyślić w ostatniej chwili. Dumna z niej istota i nie wiadomo, jak mogłaby postąpić. Gdyby spróbowała uciec od ołtarza, nikt by jej przecież nie gonił. Dopóki nie była jego żoną,



wszystko jej było wolno! A on oczywiście wołał, żeby mu narzeczona od ołtarza nie zbiegła.

Uspokoił się, widząc, jaka jest opanowana, więcej, zdeterminowana.

- Wszystko w porządku. - Skinęła głową. - Niczego się nie obawiaj.

Czyżby przejrzała jego myśli...? Nie, Lucy próbowała w tej chwili w ogóle nie myśleć. Raz podjęła decyzję i już nie zamierzała jej zmieniać. Dobrze, zostanie żoną ojca ich wspólnego dziecka. I niech się przetoczy ta cała uroczystość, niech się skończy dziwny „film” z jej udziałem. A co będzie dalej? Pożyjemy, zobaczymy.

Rozumiała, że z punktu widzenia różnych jej znajomych, przytrafił jej się los wprost fantastyczny. No tak, lecz oni dostrzegali tylko to, że oto dziewczyna z angielskiej prowincji awansuje do roli księżnej, do roli żony bardzo przystojnego arystokraty, członka rodu panującego, w dodatku posiadającego piękny pałac na jednej z malowniczych wysp Morza Śródziemnego.

Nie zamierzała nikogo wyprowadzać z błędu. Miałaby się skarżyć? Nie, skarżenie się nie leżało w jej naturze. I zresztą może by jej nie uwierzyli? Bo co by im powiedziała: że narzeczony jej nie kocha? Ale kto by się tym naprawdę przejął? Co drugie małżeństwo zawiązuje się na świecie bez miłości. A mimo to życie trwa i jeśli bywa złe, to raczej z innych powodów niż brak miłości. Główne przyczyny to bieda, przemoc w rodzinie, choroby, a również i wojny. Otóż to, życie, jeśli bywa złe, to niekoniecznie przez niedostatek romantycznych

uczuc.

Obrządek przeprowadzony został w dwóch językach, po francusku i po angielsku, przy czym francuski wynikał tu z pewnych tradycji prawnych, obowiązujących w Księstwie Mardivino, jak się dowiedziała Lucy. A kiedy Guido wsunął jej na palec wąską, platynową obrączkę, pojęła, że teraz już nic nie będzie w jej życiu takie jak przedtem. Zamknięta została jej biografia stewardesy, a zaczął się rozdział Lucy Jennifer Cacciatore, księżny Mardivino.

Wychodzących z katedry powitały niekończące się okrzyki tłumów, flesze fotoreporterów i spory zastęp panienek ubranych jak do pierwszej komunii, sypiących nowożeńcom pod stopy płatki róż.

Wsiedli do karety, Lucy oszołomiona, Guido zaś nagle bardzo łaskawy:

- Chyba ci jeszcze nie powiedziałem - zamruczał - że bardzo pięknie dziś wyglądasz.

Zerknęła zdziwiona.

- Bardzo ci dziękuję... Ale nie musisz nic udawać, Guido. W końcu jesteśmy teraz sami.

- Myślisz, że udaję? Wzruszyła ramionami.

- Cóż, dążyłeś tylko do pewnego celu i osiągnąłeś go... Intercyza podpisana, masz pełnię władzy nad naszym przyszłym dzieckiem. Ze mnie zrobiłeś podległą ci żonę... czy raczej zakładniczkę.

- Zakładniczkę? - skrzywił się. - Dlaczego tak mówisz. Chyba przesadzasz. Melodramatyzujesz. Nikt cię nie będzie tutaj trzymał na łańcuchu.

- Nie? - Uniosła brwi. - I mogłabym choćby jutro polecieć do Anglii? Ot tak?

Poruszył brwiami.

- Cóż, teoretycznie tak.

- Teoretycznie! Więc jednak tylko teoretycznie?

Uśmiechnął się połową ust.

- Bo wiesz... Z medycznego punktu widzenia lepiej przed porodem nie latać samolotem.

- Aha! - zaśmiała się gorzko. - A co jest dobre przed porodem? Co nie jest zabronione?

Obejrzał ją sobie od stóp do głów.

- No, to i owo by się znalazło. Na przykład... - Pochylił się w jej stronę, kładąc rękę na jej piersi.

Ni stąd, ni zowąd skojarzyła sobie, że w ich intercyzie nie ma żadnego paragrafu dotyczącego „wspólnoty łoża”. Jakimś sposobem prawnicy Guida przeoczyli tę kwestię. Skoro tak, to może da się z tego uczynić jakiś atut w grze z mężem?

Z zamyślenia wyrwały ją nowe wiwaty tłumów. Ludzie stali po obu stronach traktu, wiodącego z miasteczka do pałacu. Spuściła okienko karety i pomachała w stronę gapiów.

- Słuchaj, Lucy - usłyszała za sobą. - Jednak powinniśmy może porozmawiać trochę o naszym... wspólnym pożyciu. Czy chcesz, żebyśmy byli mężem i żoną tylko na papierze? Jak to sobie wyobrażasz?

Czy rzeczywiście chciałaby czegoś takiego? Raptem

przypomniały jej się wszystkie rozkosze, jakich zaznała z tym pełnym temperamentu mężczyzną. Ma się obrazić na Guida na resztę życia i nie dać mu się nigdy tknąć?

Odwróciła się.

- Poczekaj, może potem o tym... Wrócimy do tej kwestii w bardziej odpowiedniej chwili. Dobrze?

Znów obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów.

- Zgadzam się na wszystko, moja księżniczko, lub raczej księżno.

Pałac Tęczowy tonął w kwiatkach, a śniadanie dla nowożeńców urządzono w zabytkowej Jadalni Zwierciadlanej, o której krążyły legendy, że na niej wzorowano jedno z pomieszczeń w Pałacu Wersalskim. Lucy, rozglądając się, widziała swoje odbicie pomnożone przez kilkadziesiąt kryształowych tafli. Lecz z każdej z nich spoglądała na nią twarz o smutnych, podbitych cieniem oczach... Czy to naprawdę ja?

- zastanowiła się, starając się uniknąć swego spojrzenia.

Honory domu czynił Gianferro, który zasiadł po jej lewej stronie.

- Mogę ci podać coś z przekąsek? - zapytał uprzejmie, uśmiechając się do Lucy.

- Ja... - Urwała, rozglądając się po pięknie udekorowanej sali.

Prawda była taka, że nie czuła apetytu. Od dawna już jadła tyle co ptaszek. Jednak, aby umknąć zbyt wielu indagacji, pozwoliła sobie teraz nałożyć jakiejś egzotycznej sałatki rybnej na ozdobiony herbami talerz.

- Mmm, to jest pyszne - skosztowała trochę. - Wspaniałych macie w Mardivino kucharzy.

Gianferro skinął z uśmiechem głową. Chwilę obserwował swoją bratową.

- No i jakże, jesteś tu szczęśliwa? - zapytał nagle.

Zaskoczył ją tym pytaniem. Zastanowiła się, na ile Guido mógł wtajemniczyć brata w rzeczywiste zasady ich małżeństwa. Uznała, że na wszelki wypadek lepiej ukazać pogodną twarz.

Uniosła szklanę z sokiem ze świeżych owoców.

- Jestem szczęśliwa - odrzekła i spojrzała ku matce, która po drugiej stronie stołu zachichotała właśnie, usłyszawszy coś od Guida, który siedział obok niej.

Tak, lepiej ukazywać pogodną twarz. Po co miałyby zasmucać na przykład... swoją matkę?

- Wszystko to są dla mnie niezwykle przeżycia - powiedziała, zwracając się do Gianferra.

- Niezwykłe? No tak, być może - zgodził się z namysłem. - I co dalej? Słyszałem, że miesiąc miodowy macie teraz z Guidem spędzić gdzieś tutaj, w górach?

- Tak, on miał taki pomysł. Nie ma ochoty ruszać nigdzie dalej.

- A tobie... - trącił się z nią szkłem - tobie nie marzy się coś bardziej tradycyjnego? To znaczy jakiś Paryż czy Rzym, na przykład?

- Mnie? Niekoniecznie. Chętnie zwiedziłabym mój nowy kraj.

- A, to pięknie - ucieszył się Gianferro. - No a jakie macie jeszcze dalsze plany? Co po podróży poślubnej? Gdzie zamierzacie się osiedlić?

- Tego dokładnie nie wiem...

Prawda była taka, że w ogóle jeszcze nie rozmawiali z Guidem o ich dalszych planach. Bo też przez ostatnie parę dni prawie w ogóle się nie spotykali.

Spojrzała poprzez stół tam, gdzie siedział jej mąż. Spostrzegła, że Guido popatruje także na nią. Obserwował ją dziwnie intensywnie.

Czego ty właściwie ode mnie chcesz? - taka myśl przemknęła jej przez głowę. Czy była to jej własna myśl, czy też on jej taką nadał?

Chciałabyś być daleko stąd - odgadł Guido, obserwując Lucy. I ja też chciałbym być daleko stąd... O tak, wcale nie miał ochoty na stały pobyt w tym małym księstewku. Kto wie, może pomieszkają tutaj z Lucy do jej rozwiązania... Ale potem? Potem powinni ruszyć gdzieś w szeroki świat.

Uśmiechnął się do niej lekko, lecz ona odpowiedziała wzruszeniem ramion. I zaraz zmieniła ogniskową; patrzyła teraz nie na niego, lecz jakby poprzez niego. Jak gdyby był zrobiony z powietrza.

Jak sobie chcesz - pomyślał. Jesteś uparta... Lecz ja też potrafię być uparty. Jeszcze tego doświadczysz.

Lucy spuściła oczy, bo poczuła nagłe poruszenie w swym brzuchu. Nieznacznie położyła na nim dłoń. Tak, to było chyba pierwsze „kopnięcie” ich dziecka? Ogarnęła ją fala nieznanego dotąd wzruszenia. Musiała się z całej siły opanować, aby nie wrócić teraz spojrzeniem do Guida, spojrzeniem pełnym radości i miłości.

Kiedy podniosła głowę, on właśnie wstawał od stołu. Piękny jej się wydał, w jasnym garniturze, śniady, z czarnymi, lekko falującymi włosami.

Gdzie on się wybiera? Ku jej zaskoczeniu spostrzegła, że Guido zmierza dokładnie w jej stronę.

Po chwili był już przy niej. Pochylił się" do jej ucha.

- Jak na „zakładniczkę”, całkiem dobrze odgrywasz rolę szczęśliwej panny młodej - szepnął. - I rób tak dalej, *cara*. Choćby ze względu na twoją matkę... - Wyprostował się. - No, ale na nas już czas. Chodź, Lucy. - Wyciągnął do niej rękę. - Trzeba kiedyś wyruszyć w naszą podróż poślubną. Moglibyśmy to zrobić właśnie teraz.

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- I jak tam, Lucy? - W jego czarnych oczach zamigotało wyzwanie. - Co w czasie miesiąca miodowego robią ludzie w sytuacji takiej, jak nasza?

Zerknęła spod szerokiego ronda słomkowego kapelusza. O dziwo, nie czuła do niego niechęci. Przeciwnie, Guido przebrany z garnituru ślubnego w swobodny strój plażowicza podobał jej się jeszcze bardziej. Co chwila zza ciemnych szkieł rzuciła okiem na jego szeroką pierś i mocne ramiona.

Lecz drwina w spojrzeniu męża pobudziła w niej przekorę.

- Po prostu chcesz powiedzieć - zsunęła szkła w dół nosa - że czujesz się erotycznie sfrustrowany?

- Jasne - odparł szybko. - Taka jest prawda. A ty nie?

Postukała palcem w książkę, która trzymała na kolanach.

- Jak widzisz, zapewniam sobie inne zajęcia. I ty też mógłbyś od czasu do czasu coś przeczytać!

Zaśmiał się krótko.

- Mówi ta, co czyta! Od godziny nie posunęłaś się naprzód ani o pół stroniczki. Obserwuję cię, Lucy, i widzę. Odchrząknęła.

- Tak...? Bo ja podziwiam widoki. Bardzo tu wszędzie pięknie.

- Widoki? Aha. Podziwiasz widoki.

- Co miało znaczyć to „aha”? Wzruszył ramionami.



- Bo podejrzewam, że to głównie ja jestem twoim „widokiem”.  
Przecież widzę, na co popatrujesz... Ale patrz sobie, patrz, do woli.  
Jeśli uważasz, że warto na mnie patrzeć.

- Mylisz się! - zaprotestowała. - Jeśli nie czytałam, to  
podziwiałam krajobrazy.

Pochylił się w jej stronę.

- Ja się mylę? Chyba jednak nie... Ale powiem ci - jego  
spojrzenie złagodniało - że i mnie się chce na ciebie patrzeć. Śliczna  
jesteś.

Objął wzrokiem jej wciąż kształtną postać, z zaokrąglającym się  
dopiero lekko brzuchem. Lucy miała na sobie bladozielony kostium  
plażowy, dopełniający barwę jej kasztanoworudych włosów. Siedziała  
pod parasolką chroniącą jej jasną skórę Angielki.

Od kiedy przybyli tu, do górskiej rezydencji księżęcej, spali  
osobno: z woli Lucy. Tak więc nie odbyli jeszcze żadnej nocy  
poślubnej. Guido był zbyt dumny, żeby się przymawiać o łaskawość  
żony.

Ona zaś nie mogła się wciąż przełamać, nie była w stanie  
zaakceptować tego, że jest niekochana, najwyżej pożądana. I że jej mąż  
toczy z nią oraz z ich przyszłym dzieckiem tylko pewną grę. Być może  
grę polityczną.

Guido westchnął i zamyślił się.

Dziś zawiózł Lucy nad morze, próbując wypełnić dzień czymś  
innym niż niewypowiedziana frustracja i urazy między nimi. Nie  
układała im się ta podróż poślubna... Zwłaszcza jemu się nie układała.

Znowu westchnął.

Lucy zerknęła ku niemu.

- Nie patrz tak na mnie - poprosiła cicho.

- Tak, to znaczy jak? Nie chcesz, żebym patrzył na ciebie jak mąż na swoją nowo poślubioną żonę?

- Guido, daj spokój. Akurat taka ze mnie nowo poślubiona żona, jak z ciebie mąż.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dobrze wiesz, co chcę powiedzieć.

- *Cara*, dokonaliśmy wyboru, na który się zgodziłaś. Z wszystkimi konsekwencjami.

Nie odpowiedziała. W jego oczach widziała rosnące pożądanie. To pożądanie, które kiedyś jej pochlebiało... Pragnął jej, i przez to ona miała go w swojej mocy. Lecz potem doświadczyła tej banalnej prawdy, że jej mężczyzna chciał od niej tylko zaspokojenia fizycznego.

- Naprawdę myślisz, że seks zmieniłby coś między nami?

Zmieniłby na lepsze?

On przeciągnął się w leżaku.

- O, myślę, że tak. Na pewno. Na pewno od razu poczulibyśmy się oboje... bardziej komfortowo.

- Czyli seks jako rodzaj terapii? Czy sportu...? To miałeś na myśli?

- Nie trywializuj tego, Lucy. Dotąd nigdy nie byłaś trywialna.

Poczuła, że zasycha jej w gardle. Sięgnęła po plastikową butelkę z napojem, aby zwilżyć wargi.

- Nie sądzisz, Guido, że mielibyśmy ważniejsze sprawy do obgadania niż problem seksu?

- Tak? Na przykład jakie?

- Na przykład... to, że nie umówiliśmy się jeszcze co do tego, gdzie na stałe zamieszkamy.

- Aha. Cóż, ja proponowałbym mimo wszystko Nowy Jork.

- Nowy Jork? Ale ten twój penthouse zupełnie nie nadaje się dla małych dzieci.

- No to możemy się stamtąd przeprowadzić gdzie indziej!

Potrząsnęła głową. Szło przecież o to, że Nowy Jork był jego miastem. Ona sama czułaby się tam jak na wygnaniu, tymczasowo, jak podczas swych międzylądowań. Zwłaszcza zamknięta w domu z maleństwem i zapewne izolowana przez Guida od jego elitarnych przyjaciół.

- Wymyśl coś lepszego. - Zdjęła okulary i przetarła je miękką, papierową chusteczką.

- Coś lepszego? Nie chcesz Nowego Jorku?

- No, nie bardzo. Raczej nie.

- No to gdzie chciałabyś żyć?

- Może właśnie w Mardivino...? - Nagle pomyślała, że a nuż w tym małym, śródziemnomorskim rajku poczułaby się swojsko i bezpiecznie?

Ostatecznie dobrze, czemu nie... Jednak jeśli Lucy liczy na to, że on już zapomniał, czym jest Mardivino i że ona będzie tutaj mogła mu coś narzucać, to się grubo myli.

- Jak sobie życzysz - odrzekł chłodno. - Może być Mardivino.  
Czekała, że on powie coś więcej, ale nie.

- Słuchaj, Guido - podjęła - jest jeszcze coś, czego prawie nie dotykamy w naszych rozmowach...

- Czyżby! - odparował z miejsca, jakby chciał powstrzymać dalszy ciąg możliwych pretensji. - Oświeć mnie, co masz na myśli?

- Mam na myśli dziecko, rzecz jasna. Nasze dziecko.

- Aha - skinął głową. - A co byś chciała dorzucić?

Cóż on tak ironizuje? - przemknęło jej przez głowę. Przecież dziecko naprawdę go obchodzi, bardziej niż cokolwiek innego.

Nie myliła się. Guido odrzucił nagle maskę ironii i wybuchnął:

- Tę sprawę mamy uregulowaną, jeśli się nie mylę! Intercyza podpisana; wszystko wiadomo.

- Naprawdę wszystko?

Przyjrzał jej się.

- No dobrze, może i nie wszystko - zgodził się. - Ostatecznie mogą się przydarzyć różne rzeczy. Mam jednak nadzieję, że nie przytrafi nam się żadne nieszczęście, dziecko urodzi się zdrowe, ty też będziesz zdrowa... - urwał, wykonując nieokreślony gest.

Ta jego ostatnia uwaga coś jej przypomniała. No tak, jego matka umarła przecież przy położu małego Nica. Guido musi mieć uraz na tym tle. Nieszczęścia nie omijają także możnych tego świata. Żadna błękitna krew nie chroni przed zwykłym, ludzkim losem.

Miała ochotę dotknąć jego ręki, aby dać mu znać, że go rozumie. Jednak on mógłby pojąć taki gest opacznie, na przykład jako inicjację

gry erotycznej, na którą czekał. Wobec tego wołała zostawić go w spokoju.

Dłuższą chwilę oboje milczeli, wpatrując się w linię horyzontu, tam gdzie morze zdaje się przenikać z niebem.

- Naprawdę pięknie tutaj - odezwała się wreszcie Lucy. - Po co mielibyśmy opuszczać tę wyspę? Żaden Nowy Jork nie da się porównać z tutejszymi krajobrazami.

- Aż tak ci się tu spodobało? Naprawdę? Zajrzała mu w oczy, lecz zaraz odwróciła głowę.

To, co by jej się naprawdę spodobało, było czymś znacznie więcej... Podobałoby jej się być kochaną, to po pierwsze. Po drugie, sama chciałaby kochać, móc to robić, wyrażać otwarcie, bez obawy, że jej uczucie zostanie odtrącone. No i pragnęłaby też, aby ich dziecko nie było tylko pionkiem w jakiejś jego grze, lecz owocem serdecznego związku. Oczywiście rozumiała, że żąda za wiele i że lepiej porzucić takie marzenia. Westchnęła.

- Próbuję sobie jakoś wyobrazić naszą przyszłość... - Spojrzała na Guida. - Ale nie bardzo ją widzę.

- Któż zna przyszłość! - Machnął ręką. - Ja uważam, że najlepiej w ogóle nie myśleć o przyszłości. Sam najbardziej lubię żyć teraźniejszością... Tobie też coś takiego radzę.

Bezradnie wzruszyła ramionami. Teraźniejszość... Lecz nawet ona jest taka trudna! Bo na przykład co należałoby zrobić teraz, w tej chwili: dać się namówić Guidowi na seks, czy nie? Dać się samej sobie na to namówić...?

Jeszcze raz westchnęła.

- Właściwie to my się przecież prawie wcale nie znamy... Bo cóż ty wiesz o mnie albo na przykład ja o tobie?

Milczał chwilę.

- Ktoś trzeci, słysząc cię, wiesz, co by powiedział?

- No co?

- Że jedynym sposobem lepszego poznania jest zacząć to robić!

Zacząć się nawzajem poznawać.

- Nawzajem poznawać... Jak?

- Mogłabyś na początek nie odwracać się do mnie plecami w łóżku.

Pokręciła głową. On, jak pijany płotu, trzyma się swej obsesji erotycznej. Ona chciałaby pogadać o duszy, a on ma na myśli seks.

- Guido, mnie nie chodziło o seks.

- Ale od seksu można by zacząć, co? - uśmiechnął się zachęcająco. - Aby się jakoś podtrzymać nawzajem, poczuć bardziej intymnie.

Co to za intymność, pomyślała, gdy nie towarzyszą jej uczucia? Jednak na bezrybiu i rak ryba... W końcu bez wzajemnej bliskości daleko nie zajadą.

- No dobrze. Niech już będzie. Wyrażam zgodę na łóżko.

Spojrzał na nią i wysoko uniósł brwi.

- „Wyrażam zgodę”? A cóż to za dziwny formalizm? Będziemy w łóżku jakoś urzędować, czy co?

Stropiła się.

- No, nie całkiem to miałam na myśli.
- A może właśnie to? - W jego oczach zamigotała ironia.
- Guido, ja naprawdę...

Przerwał jej gestem, podnosząc się z leżaka.

- Gdybyś miała pozostać bezwolna, to ja ci bardzo dziękuję. Nie chcę, żebyś mi składała siebie w ofierze. Wolę się z tobą w ogóle nie kochać, niż robić to w ten właśnie sposób.

- A jeśli nie w ten sposób, to... - zsunęła kapelusz na tył głowy - to co? Poszukasz sobie pocieszenia gdzie indziej?

Zaplótł ramiona i odwrócił się do niej tyłem, zasłaniając sobą słońce.

- Nie wiem jeszcze, co zrobię... Ale ja na pewno nie nadaję się do celibatu.

No tak, do takiego finału musiało dojść. Te słowa nie mogły nie paść! Usłyszała teraz z jego strony poważne ostrzeżenie... I poczuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

Wyglądało na to, że zabrnęli oboje w ślepią uliczkę. Wylądowali w sytuacji patowej.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W następnych dniach zaczęli się zwyczajnie unikać. Tamta gorzka rozmowa na plaży do reszty ich poróżniła.

Guido starał się jak najwcześniej wypływać gdzieś jachtem albo chodził na wyprawy w góry. Wracał o zmierzchu tak fizycznie wyczerpany, że kładł się zaraz do łóżka i zasypiał.

Gdy spotykali się czasem na lunchu w jadalni, siadali jak najdalej od siebie i nie patrzyli sobie w oczy. Lucy otwierała książkę i cały czas czytała.

- Nie samym chlebem człowiek żyje - powiedziała raz, gdy zapytał, czemu tak postępuje.

Jednak następnego dnia, ujrawszy go na progu sali jadalnej, zatrzasnęła książkę.

- Guido... - Zabębniła palcami po stole. - Tak dalej być nie może.

On zatrzymał się w pół kroku, przegarniając dłonią mokre włosy. Przed chwilą wrócił z kąpieli. Był w wilgotnej koszulce i w spłowiałych szortach.

- Zgoda - odrzekł. - Tak dalej być nie może...

To co, pakujemy się i wracamy do Solajoi? Tego byś chciała?

Zamrugnęła. Jak to? Tak od razu mają wracać...? Zdała sobie sprawę z tego, że liczyła raczej na nową, poważną rozmowę. I na jakiś jej lepszy finał tym razem. Być może finał właśnie w łóżku, niech będzie, pełne pasji spotkanie, które ulżyłoby nieporozumieniom między



nimi.

Cóż, przeliczyła się. On najwyraźniej nie chce się do niej zbliżyć. A zwłaszcza nie chce się do niej zbliżyć tak, jak jej by się marzyło.

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli i ty tego chcesz... Zaśmiał się krótko i nic nie odrzekł.

Odczekała chwilę.

- Guido...

Uniósł pytająco brwi.

- Słucham cię, księżno? Westchnęła.

- A może przynajmniej moglibyśmy być dla siebie... - urwała.

Powiedziałyby „przyjaciółmi”, lecz doszła do wniosku, że zażądałyby zbyt wiele. Wobec tego trzeba zacząć skromniej, jak na obecne warunki.

Wstała od stołu i podeszła do niego.

- Może moglibyśmy być dla siebie przynajmniej grzeczni.

Grzeczność. Pomyślał, że ona ostatnio ma szczególnie gust do mdłych słów, i nie w porę.

Uśmiechnął się blado.

- Na to z mojej strony zawsze możesz liczyć. Ostatecznie kindersztuby mi nie brakuje.

Skinęła głową. Jakoś ulżyło jej trochę po tej odpowiedzi.

- No dobrze. - Guido spojrzął po sobie. - To ja teraz pójdę się przebrać. Jak grzeczność to grzeczność. Wolę być elegantszy w jadalni.

Wyszedł, a ona została, nie wiedząc, co począć. Wracać do talerza i do książki? Czy pójść za nim i także zmienić niedbały strój

domowy na coś bardziej godnego... księżnej? Nagle świat wydał jej się dziwnie nieprawdziwy. Zamyśliła się. I dopiero delikatne poruszenie dziecka w jej łonie przywróciło ją rzeczywistości. Położyła rękę na brzuchu. Z wdzięcznością pomyślała o tej małej istotce, że choć prawie jej jeszcze nie ma, już nadaje sens jej życiu.

- Wszystko przetrwamy - szepnęła cicho w jej stronę. - Wszystko się jeszcze ułoży. Zobaczysz!

Po czym wróciła do stołu. Otworzyła swoją książkę i dalej czytała, jedząc.

Nie samym chlebem człowiek żyje.

Dziwne, że kiedy Pałac Tęczowy w Solajoi pojawił się u wylotu alei, którą zbliżali się do niego, pomyślała o nim jak... o domu. Zżyła się z nim chyba w swej imaginacji, bo przecież nie w rzeczywistości; do tego było za mało okazji.

Na podjeździe powitali ich Nico i Ella i to też było przyjemne.

- Dobrze, że już jesteście - ucieszyła się Ella.

- Ale co się stało, że tak wcześnie?

- To przez te moje poranne mdłości - tłumaczyła się Lucy, starając się unikać oczu męża.

- Ale teraz czujesz się już dobrze, prawda?

- Guido gładko podchwycił zaimprovizowane usprawiedliwienie.

Ella wzięła Lucy pod ramię.

- Opowiedz lepiej, jak tam było. To piękne miejsce, ta rezydencja, prawda? Morze, góry...

Lucy gotowa była się rozplakać, gdy poczuła serdeczne dotknięcie szwagierki. Jednak zacisnęła zęby i tylko skinęła głową.

- Nie pytaj ją o widoki - wtrącił się z figlarną miną Nico. - Przecież oni tam mieli coś lepszego do roboty niż podziwianie krajobrazów!

Spłoszona, zerknęła w stronę Guida, który znów odwrócił głowę. Z pałacu wyszedł Gianferro, jak zwykle z poważnym obliczem. Na widok Lucy jego rysy zmiękły jednak.

- Witaj w domu - odezwał się do niej. - No i jak miesiąc poślubny? Jak się teraz czujesz?

Powstrzymała się, żeby nie dygnąć.

- O, całkiem dobrze - odpowiedziała. - Całkiem dobrze, bardzo dziękuję.

I był jeszcze w pobliżu Leo, oczywiście, słodki, gruchający... Teraz w ramionach piastunki, lecz w następnych dniach - w następnych dniach nieraz też w objęciach Lucy.

Guido zajrzał któregoś popołudnia do łazienki przy pokoju dzieciennym, gdzie Lucy kąpała właśnie malca. Miała potargane włosy i zachlapaną wodą sukienkę.

Znieruchomiała, ujrawszy męża w progu.

- Nico i Ella pojechali do miasta, dlatego ja... - zaczęła się tłumaczyć.

- Rozumiem - skinął głową. - Ale przecież mogła się dzieckiem zająć niania.

Wyjęła Lea z wanienki i zaczęła go wycierać.

- Ona akurat ma dziś wychodne. A poza tym ja lubię Lea. Lubię się nim zajmować.

Otaksował ją wzrokiem od stóp do głów. Ładna była, choć taka potargana i ochlapana... Więcej niż ładna, bo sexy! Mimo tych jej po macierzyńsku zaokrąglających się kształtów. A może i dzięki nim, tym bardziej?

Poczuł, że bardzo pragnie tej kobiety.

Zacisnął zęby.

- Szukasz czegoś, co by ci wypełniło czas, tak? Wzruszyła ramionami.

- Owszem, to też. - Zaczęła ubierać Lea w czyste śpioszki. - Poza tym uczę się, praktykuję, zdobywam doświadczenie. Same podręczniki dla młodych matek nie wystarczą.

- Jasne - zgodził się. - Słuchaj, Lucy, chciałem ci powiedzieć, że muszę teraz polecieć do Nowego Jorku.

Jej palce, manipulujące przy dziecku, znieruchomiały. Podniosła oczy.

- Do Nowego Jorku?

- Zgadza się. Poczula nagły niepokój.

- Ale po co właśnie tam? Guido wykonał nieokreślony gest.

- Cóż, interesy, moja droga. Zapomniałaś, że mam w Stanach swoją firmę? Gdybyś zechciała lecieć ze mną, będzie mi bardzo miło.

Lecieć z nim? Szybko spróbowała sobie wyobrazić, co też miałyby robić za oceanem w czasie, gdy jej mąż będzie zajęty poza domem. Siedziałyby uwięziona w tym jego penthousie i czekała nie

wiadomo na co. Zupełnie sama. Nie, to już lepiej zostać w Mardivino, gdzie w końcu ma jakieś przyjazne dusze, no i jest malutki Leo, którego zdążyła pokochać.

Pokręciła głową.

- Nie, dziękuję. W moim stanie, taka podróż... - Położyła rękę na brzuchu.

- W twoim stanie? - Uniósł brwi. - Przecież nie rodzisz jutro; nie szukaj wymówek, Lucy.

Spuściła oczy.

- Ale mnie jest dobrze tutaj.

- Tutaj ci dobrze... - W jego głosie dał się słyszeć sarkazm. -

Proszę, proszę, moja żona polubiła wygody pałacowe... Ale o wygodę swego męża nie chce zadbać.

Przymówka była aż zbyt jednoznaczna. Mimo to Lucy postanowiła puścić ją mimo uszu. Wzięła Lea na rękę.

- I jak długo cię nie będzie? Skrzywił się.

- Czemu się tym interesujesz?

- Jak to czemu? Przecież jestem twoją żoną i mam prawo wiedzieć.

Zaplótł ramiona na piersi.

- Na twoim miejscu nie powoływałbym się na „prawa żony”... Bo czy rzeczywiście jesteś moją żoną? Chyba tylko na papierze, ale nie w życiu...

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Guido wyjechał, a wraz z tym światu, który otaczał Lucy, ubyla jakaś istotna część... Niby ubyla, lecz bez absorbującej obecności męża życie Lucy zrobiło się też prostsze.

Zdawała sobie sprawę z tego, że kłopoty małżeńskie zanadto przysyłają jej rzeczywistość. Pozostawiona samej sobie, poweselała. Więcej teraz czytała, chodziła na spacer, słuchała muzyki z płyt. Oglądała ciekawe filmy w telewizji, zaczęła się uczyć włoskiego, zajmowała się też dalej małym Leem. Zaprzyjaźniła się bliżej z Ellą.

Tylko nocami była nieszczęśliwa. Nie mogąc zasnąć, próbowała sobie nieraz wyobrazić, co też teraz może robić jej Guido? Co on naprawdę robi w Nowym Jorku?

Przewracając się z boku na bok, wyrzucała sobie, że odmową współżycia pchnęła go właściwie w objęcia innych kobiet. Ach, gdyby mogła kogoś zapytać, poradzić się, jak powinna postępować z mężem, aby zaczęli się wreszcie zbliżać do siebie, a nie oddalać?

Niestety, nie było kogo zapytać. Elli nie mogła się zwierzać, bo ta wygadałaby wszystko Nicowi, a to by oznaczało, że wkrótce cały pałac mówiłby o fikcyjności jej małżeństwa z Guidem.

Na szczęście służyła jej sama ciąża. Lucy nigdy jeszcze nie miała tak gładkiej skóry, czystego spojrzenia i lśniących włosów, jak teraz. Czowała się sprawna; brzuch ciągle nie był zbyt duży. Jej piersi, i przedtem piękne, zaokrągliły się jeszcze.

No tak, ale gdzie mężczyzna, który mógłby to wszystko podziwiać...? Minał już przeszło tydzień, odkąd Guido wyjechał. Może w tej chwili właśnie zabawia się w swym penthousie z którąś z tych blondyn, co to dla niego „nic nie znaczą”?

Nagła złość, żal i zazdrość przeszły jej serce, gdy zbudowała w wyobraźni pełną scenerię możliwej zdrady męża, z najdrobniejszymi szczegółami.

Co robić? Poczwała, że ma chęć natychmiast polecieć do Nowego Jorku.

No więc dobrze, więc poleci...! Oczywiście trzeba się będzie jakoś opowiedzieć Gianferrowi, zarządzającemu życiem pałacu. Lecz jako motyw można podać zwykłą zachciankę... W końcu księżnym wolno mieć od czasu do czasu zachcianki.

I miejmy nadzieję, pomyślała, że Gianferro zachowa dyskrecję, nie powiadomi Guida o jej podróży. Ponieważ Lucy miała zamiar zrobić mężowi niespodziankę.

Miała nadzieję, że niespodzianka nie okaże się dla nich obojga rozczarowująca.

Ostry dźwięk dzwonka u drzwi zakłócił łagodne tony muzyki i Guido zmarszczył się z irytacją. Któż to może być, u licha, i dlaczego w ogóle się dobija? Portier miał dziś nikogo nie wpuszczać na górę.

Dzwonek powtórzył się. No nie, to niebywałe... Guido zerwał się i ruszył do drzwi. Otworzył je z rozmachem. Po czym osłupiał. Prędzej spodziewałby się ujrzeć górę lodową na pustyni niż własną żonę tutaj,

w Nowym Jorku.

- Lucy? - Uniósł brwi. - Skąd ty się tu wzięłaś?

- Witaj, Guido - odrzekła cicho. - Mogłabym wejść? Chyba że... - Przeniosła wzrok z twarzy męża na to, co mogło być poza nim. - Chyba że... jesteś zajęty.

Owo „jesteś zajęty” zabrzmiało aż nazbyt wymownie.

- A niby czym miałbym być zajęty? - spytał zaczepnie. - Ty myślisz, że sobie kogoś tutaj sprowadzam, tak?

Zajrzała mu w oczy.

- A nie sprowadzasz? Nic nie odrzekł.

Odczekała krótką chwilę, po czym przekroczyła próg, mijając Guida. Ruszyła w głąb mieszkania, starając się wysoko nieść głowę.

W salonie odniosła wrażenie, że wszystko jest jakby przygotowane właśnie do akcji uwodzenia. Światła były przyćmione, paliła się świeczka zapachowa, muzyka była nastrojowa, a na stole stała otwarta butelka wina. Jednak przy niej był tylko jeden kieliszek.

Obejrzała się za siebie, napotykając drwiący uśmiech męża.

- No i jak wyniki inspekcji? - zapytał. - Jesteś zadowolona?

Rozejrzała się.

- Na pewno jesteś sam?

Zaśmiał się krótko i podszedł do stołu. Nappełnił sobie kieliszek winem.

- Tobie też nalać? - Podniósł oczy.

Był taki swobodny, że Lucy zważyła, czy rzeczywiście ukrywa tu kogoś w dalszych partiach penthouse'u.



Poprawiła sobie włosy.

- Nie, dziękuję - odrzekła. - Jestem w ciąży, więc nie biorę alkoholu do ust. Zapomniałeś?

- No tak, racja. - Skinął głową. - Ale przede wszystkim siadaj. Jesteś przecież u siebie w domu.

Oboje usiedli.

- No, powiedz mi - podjął - skąd to nagłe natchnienie, żeby zjawić się w Nowym Jorku? Ty chyba rzeczywiście myślałaś, że mnie z kimś tutaj nakryjesz, tak?

Sposób, w jaki to ujął, bez ogródek, rozzłościł ją nagłe.

- A żebyś wiedział, że tak! - odparowała. - Właśnie tak myślałam. Właśnie tak!

Wysączył swój kieliszek.

- Pięknie. Bardzo pięknie. - Sięgnął znów po butelkę. - Zazdrosna żona robi scenę mężowi, z którym sama nie chce żyć... No i bardzo cię proszę - zatoczył ręką koło - sprawdzaj. Zajrzyj tu do wszystkich kątów. Zobacz, czy gdzieś kogoś ukrywam.

Myślała, że nie może się już poczuć bardziej zraniona. Ale się omyliła. Drwiny Guida sprawiły, że teraz dopiero ujrzała się na samym dnie. Miała ochotę głośno się rozplakać.

Łzy polały jej się po policzkach rześiste, gorące, gorzkie. Zakryła twarz rękami.

- Lucy? - usłyszała.

Była troska w jego głosie, lecz ona pokręciła głową, nie przyjmując do wiadomości tej jego troski.

- Lucy - powtórzył, bardziej nagląco. Wstał z fotela i zbliżył się do niej.

- Odejdź.

- Spójrz na mnie.

- Nie.

Pochylił się i ujmując jej ręce w nadgarstkach, zmusił ją do odsłonięcia twarzy. Znów pokręciła głową.

- To nie jest to, co myślisz... - Urwała. - Nie przyjechałam tu po to, żeby zobaczyć, jak mnie zdradzasz... Choć pewnie kiedyś zaczniesz mnie zdradzać. Ale wtedy... - zastanowiła się - właściwie wtedy ktoś mógłby cię winić?

Puścił jej nadgarstki i wyprostował się.

- O czym ty mówisz? *Cara mia*, do czego zmierzasz? Sama chcesz mnie popchnąć do wiarołomstwa?

Gwałtownie pokręciła głową. Tymczasem on zmarszczył czoło.

- A jednak - powiedział. - Wygląda na to, jakbyś chciała mi dać wolną rękę? I sobie może też...? Tak? Masz ochotę na innych mężczyzn?

Przyjrzała mu się osłupiała. Jakim cudem on doszedł do takich wniosków?

- Ależ Guido, ja... Nie chcę nikogo poza tobą! Od kiedy cię poznałam, inni mężczyźni mnie nie obchodzą.

Zrobił sceptyczna minę.

- Nie obchodzą? To zechciej mi wytłumaczyć, do czego tak naprawdę zmierzasz? O co ci w ogóle chodzi? I dlaczego postępujesz

ze mną właśnie tak?

Bezradnie opuściła ramiona.

- Wiem, że masz żal do mnie... Skrzywił się.

- Dajże już z tym spokój! Mówiłem ci przecież, że nie chcę ofiar z twojej strony. Nie chcę, żebyś się ze mną kochała tylko dla mojej wygody. Do tanga trzeba dwojga. Jeśli ty na seks naprawdę nie masz ochoty... - Rozłożył ręce.

Jakże: to nieprawda, że nie miała ochoty. Miała, jeszcze jak miała! Tylko że nie chciała ze swym mężem tylko seksu.

Westchnęła. Cóż, a może by jakoś się przemóc?

- Mam ochotę, Guido - rzekła, spuszczać oczy. - I to z tobą, z nikim więcej. I dlatego tu właśnie jestem.

Przymrużył oczy. Potem uśmiechnął się.

- Naprawdę? - Przykląkł obok niej. - Lucy, naprawdę? Ale co się stało, że dopiero teraz...?

Westchnęła.

- Nie mam pojęcia, dlaczego to się tak wszystko między nami pokomplikowało.

I on też nie miał pojęcia, dlaczego się pokomplikowało. Jednak w tej chwili nie miał czasu, aby nad tym rozmyślać. Oparł czoło o jej czoło. I zauważył, że Lucy przymyka oczy.

- Zmęczona jesteś? - Pogładził ją po karku. Pokiwała głową.

- Chyba tak. Spać mi się chce.

- Aha. No to... no to chodźmy. - Wstał, schylił się i wziął ją na ręce.

- Dokąd mnie zabierasz? - Położyła mu głowę na ramieniu. - Do łóżka?

W jego czarnych oczach zapłonął żar.

- Myślę, że tak - uśmiechnął się. - Nawet na pewno tak.

I skierował się do swej obszernej sypialni. Lucy poddawała mu się z drzeniem, które on chyba wyczuł, bo uspokajająco zaczął głaskać jej ramiona, włosy i czoło.

Znów przymknęła oczy, a kiedy je otworzyła, zrozumiała, że musiała na chwilę przysnąć. Przy niej nie było nikogo. Guido wprowadził ją w jakiś trans hipnotyczny, po czym... zniknął?

Spostrzegła na szafce szklanek wody. Sięgnęła po nią i zaczęła pić.

Wtedy wyczuła, że jednak nie jest w pokoju sama. Podniosła oczy i dostrzegła swego męża. Stał w pewnym oddaleniu, oparty ramieniem o framugę drzwi.

Ostrożnie odstawiła szklanekę.

- Jak długo spałam? - zapytała.

- Dwie godziny.

- Aż dwie godziny! - Pomyślała, że jej mężowi odechciało się może seksu z nią, skoro nic nie zdziałał w ciągu tych dwóch godzin.

Lecz właśnie w tym momencie Guido zaczął odpinać guziczki swej koszuli.

Nakryła palcami usta, które nagle zaczęły drżeć.

- Guido...

- Mmm? - uniósł brwi i ruszył w jej stronę. - Ty też tego chcesz,

Lucy - przypomniał jej, siadając obok na łóżku.

Obserwowała spod półprzymkniętych powiek, jak koszula jej męża łąduje na podłodze. Za koszulą poszły spodnie i cała reszta, buty, spodenki, skarpetki.

Wciąż nie podnosiła oczu, widząc teraz ręce Guida, zabierające się do jej garderoby. W parę chwil była tak samo naga, jak on.

Przez moment Guido, zafascynowany, przyglądał się zaokrąglonemu brzuchowi żony. Tam, wewnątrz, było jego dziecko. Przemknęło mu przez myśl, że może nie powinni...? Jednak pożądanie wzięło górę. Przygarnął do siebie upragnione, nagie ciało.

- Ale naprawdę chcesz? - postanowił się upewnić. - *Cara mia...*

- Oczywiście, że tak - szepnęła. - Bardzo chcę.

- Objęła go za szyję.

Spletli się nogami i połączyli w pocałunku. Nasyciwszy pierwszy głód bliskości, oderwali się od siebie, aby lepiej urządzić się w łóżku, zanurkować w pościel, bo w sypialni wcale nie było za ciepło.

- Lucy, ale czy to nie zaszkodzi dzidziusiowi?

- Guida opadły nowe wątpliwości. - Bo wiesz, ja się zupełnie nie znam na takich sprawach.

- Nie zaszkodzi - uśmiechnęła się. - Dopiero w ostatnim miesiącu trzeba ostrożniej...

Na wszelki wypadek kochali się już teraz ostrożniej.

Równocześnie namiętnie i oględnie. Raczej bokiem niż frontalnie, tak, aby nie przydusić ani na moment tego trzeciego, małego Mardivino, w nieobliczalnej chwili.

Ledwie ochłonęli trochę po rozkoszy, Guido zaczął się podnosić. Sięgnął po swoją koszulę, leżącą na podłodze.

- Już idziesz? - zapytała zawiedziona, że już ją opuszcza. -

Dokąd?

- Tu blisko, do kuchni. - Obejrzał się. - Zrobię ci coś do jedzenia.

- Ale ja nie jestem głodna. Nie chcę jeść, chcę ciebie... Chcę, żeby wszystko było jak dawniej.

- Na pewno jesteś głodna - stwierdził autorytatywnie. - Samolot z Europy leciał tu ładnych parę godzin. Więc...

- Był lunch w samolocie.

- Ale ty na pewno go nie jadłaś. Mówiłaś mi kiedyś, że nie cierpisz kuchni lotniczej.

- No tak - musiała przyznać.

- Widzisz. - Ruszył do drzwi.

Leżąc, nasłuchiwała odgłosów jego krzątania za drzwiami. Szczękały naczynia, zagwizdał czajnik, potem sam Guido zaczął coś podśpiewywać.

Po paru minutach wrócił, niosąc na tacy dzbanek z kawą i kanapki.

Podniosła się, wkładając sobie poduszkę pod plecy.

- Robisz to, co ja kiedyś - uśmiechnęła się. - Jeszcze dojdzie do tego, że sprawisz sobie mundurek stewarda.

Odpowiedział uśmiechem. Postawił tacę na szafce.

- Zajadaj - odezwał się. - Zaraz poczujesz się lepiej.

Lepiej? W jakim sensie lepiej, zastanowiła się Lucy. Przecież

atmosfera między nimi już stała się dużo lepsza, o niebo lepsza.

Jej optymizm w następnej chwili miał być poddany próbie.

- Bo przecież nadal jesteśmy tylko małżeństwem z rozsądku, prawda? - Przysiadł obok niej. - Jak na razie nic tu się nie zmieniło.

Zmroziła ją ta obiektywna analiza. Guido po raz któryś przypomniał, gdzie jest jej miejsce. A miejsce to było bardzo daleko od okolic jego serca. Mogą spotykać się w jednym łóżku, lecz myślami i uczuciami będą na zawsze rozdzieleni. W każdym razie on nie zamierza zbliżyć się do niej, do swojej żony.

Nie tknęła nic z tego, co przyniósł jej na tacy. Skoro on nie umie jej pokochać, o czym znów przypomniał, to po cóż jej kanapki, które zrobił teraz dla niej?

Niech sam je zje.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pozostała jednak u męża w Nowym Jorku... Rozsądek wziął górę. Poza tym Guido wciąż był taki czarujący! Umiał odgrywać wiele ról, wyniosłego księcia, światowca, biznesmena, uwodziciela. Nawet i troskliwego opiekuna.

- Skontaktuję cię z dobrym lekarzem - zapowiedział Lucy. -  
Będziesz tutaj pod opieką najlepszego położnika.

Pokiwała głową, przyjmując to po prostu do wiadomości. Cóż, niech będzie i położnik! Szkoda, że mąż nie może jej skontaktować z jakimś... kochającym mężem, pomyślała paradoksalnie. Bardzo by jej się w tych czasach przydał kochający mąż.

Pobyty w Nowym Jorku przedłużał się. Guido przedstawił w końcu Lucy swoim przyjaciółom i partnerom biznesowym. Na Boże Narodzenie polecieli też do Anglii, aby odwiedzić rodziców Lucy. W czasie tej wizyty Guido perfekcyjnie odgrywał rolę idealnego męża. Matka i ojciec Lucy byli zachwyceni.

Po powrocie do Stanów chadzali na wystawne przyjęcia i do opery. Także do luksusowych magazynów, gdzie Guido kupował Lucy piękne kreacje i klejnoty. Księżę zawsze lubił dawać prezenty kobietom, i swojej żonie także lubił.

- Ale po co mi tego aż tyle! - protestowała.  
- Wiem, że nie suknia zdobi człowieka - odpowiadał z uśmiechem. - Jest odwrotnie, piękny człowiek zdobi swój ubiór. I może



chęć, żeby właśnie moja żona zaszczycła swoją urodą wszystkie te fatałaszkę i błyskotki, które są po to, żeby je kupować?

Umiał być przewrotny książę Mardivino, o, umiał. Znosiła to i zawieszala swe protesty. Gdzieś w głębi serca ciągle żywiła nadzieję, że Guido ujrzy w niej kiedyś coś więcej niż tylko swoją partnerkę erotyczną i „żonę z rozsądku”.

Starala się przy tym nie dopuszczać myśli, że któregoś dnia on może zakocha się w innej kobiecie i po prostu odejdzie? Nie powstrzyma go przecież intercyza, zwłaszcza że jej kształt tak czy owak faworyzuje jego interesy.

Kiedy byli między ludźmi, widziala, że wielu jej zazdrości tego, co osiągnęła. Oczywiście, sądzili po pozorach. No bo z pozoru rzeczywiście stanowili piękną parę, a ona sama wygrała los na loterii. Weszła do starego rodu arystokratycznego, uprzywilejowanego finansowo i czegoż jeszcze mogło jej brakować? Chyba tylko ptasiego mleka i gwiazdki z nieba... Tak, lecz nikt nie wiedział, że jej mąż nigdy nie wypowiedział tych magicznych słów, na które czeka każda kobieta na ziemi: „Kocham cię”.

W chwilach desperacji gotowa była spytać Guida wprost, co on do niej czuje? Zarazem cofała się przed tą ostatecznością. Bo a nuż padłoby wtedy przekreślające do reszty jakiegokolwiek nadzieję słowo „nic”? Jak żyłaby przez następne dni, tygodnie, lata z owym „nic” dźwięczącym w jej głowie, zatruwającym serce?

Któregoś dnia siedzieli przy śniadaniu. Guido przeglądał kolumny finansowe w gazecie, sprawdzając, jak stoją jego akcje. Akcje

stały niezmiennie bardzo dobrze, co nie znaczy, że księżę Mardivino gotów był spocząć na laurach. O nie, on nigdy nie był syty sukcesu, wciąż pomnażał swój i tak bajeczny majątek. Wkładał w to ogromną energię.

Pochyliła się ku niemu.

- Guido?

- Mmm? - Popatrzył na nią znad płachty „New York Timesa”.

Spróbował odgadnąć ze spojrzenia Lucy, w jakim dziś jest nastroju. Stan jej emocji wahał się, co można było łączyć z niestabilnością hormonalną. Nie mógł się już doczekać, kiedy jego żona urodzi dziecko i wróci do równowagi. Liczył na jakąś normalność między nimi.

- Chciałabym już wracać do Mardivino.

- Do Mardivino? - Uniósł brwi. - *Cara mia*, dlaczego chcesz wracać?

- To bardzo proste - spróbowała się uśmiechnąć. - Zbliża się termin rozwiązania.

- Aha - złożył gazetę - rozumiem. No, ale mimo wszystko...

- Guido, po trzydziestym szóstym tygodniu nie powinnam już wsiadać do samolotu.

Skinął głową.

- Rozumiem. Cóż, w takim razie wycarterujemy jakąś maszynę. Albo może Nico przyleci po ciebie z Europy? On też ma licencję pilota, tak jak ja.

Nico po mnie? Zrozumiała, że jej mąż osobiście nie pali się do

powrotu na wyspę. Zrobiła zawiedzioną minę.

- Chcesz, żebym sama leciała do księstwa? Z twoim bratem?

Zreflektował się. W istocie, nie powinna lecieć sama. A zwłaszcza z jego bratem.

- Przepraszam cię, Lucy. Polecimy razem, oczywiście.

Nie był to najlepszy moment, pomyślała, żeby pytać, co będzie, gdy dziecko się już urodzi. Jak będą żyli ze sobą i gdzie? Postanowiła jednak zaryzykować:

- A potem? Czy potem zostaniesz ze mną? Z nami? W Mardivino?

Wzruszył ramionami, odkładając gazetę.

- Hm, a nie lepiej wrócić na stałe do Nowego Jorku? Tutaj ludzie też mają dzieci. I to całkiem sporo.

No tak, przemknęło jej przez głowę, należało się takiej reakcji spodziewać. To, że jej może być lepiej tam, na tej rajskiej wyspie, jego nic nie obchodzi.

- Ależ Guido... - próbowała argumentować.

- To twoje mieszkanie, tutaj, nie jest odpowiednie dla małego dziecka.

- No to się gdzieś przeprowadzimy! Są w Nowym Jorku także zielone dzielnice. Kupimy sobie wielki dom z ogrodem.

Uparł się, pomyślała. Lecz ona też umiała być uparta.

- Nie. - Pokręciła głową. - Ja chcę wracać do Mardivino.

Skrzywił się i westchnął. Widać było, że zaczyna się w nim gotować złość. Wstał, odszedł od stołu, lecz po chwili wrócił. Zabrał

swoją gazetę.

- W porządku - wycedził, ruszając do drzwi.
- Wróć z tobą na tę wyspę... Ale mam nadzieję, że znormalniejesz, jak już urodzisz. Że przejdą ci te wszystkie humory.

Patrzyła za nim oniemiała, kiedy wychodził. A gdy trzasnęły puszczone z rozmachem drzwi, zatkała sobie uszy. Poniewczasie.

Przez iluminatory samolotu, podchodzącego do lądowania, widać było ukwiecone wzgórza wokół stolicy. Na wyspie panowała już wiosna. Lucy poczuła się tak, jakby wracała naprawdę do domu. Tu ma się urodzić jej dziecko, dziecko tutaj będzie miało dom. Więc i ona będzie tu miała dom.

- Patrz, jak tu pięknie, Guido.

Lecz on nie spojrzał tam, w dół. Wolał poprzyglądać się jej przyglądaniu. Wyspę widział już dostatecznie wiele razy, z nieba i z ziemi. Natomiast zachwyty żony wydał mu się w tej chwili interesujący. Czy naprawdę zajmuje ją tutejszy krajobraz, zastanowił się, czy raczej to, że w Mardivino podniesie się jej status? W świecie zewnętrznym była jedynie żoną biznesmena, a tutaj, w księstwie, będzie, no cóż, księżną, traktowaną z całą etykietą. Czy o to jej szło, gdy upierała się przy powrocie do Mardivino?

Kiedy przybyli do Pałacu Tęczowego, Guido po krótkim przywitaniu się z braćmi powiedział:

- Pozwólcie, że pójde się teraz zobaczyć z ojcem. Spotkamy się przy kolacji, dobrze?

Lucy została sama z Gianferrem, Nikiem i Ellą. Wszyscy troje z wielką uprzejmością wypytywali ją o zdrowie i o to, jak tam było w Nowym Jorku.

- Cóż, Nowy Jork, jak Nowy Jork... - próbowała się wykręcić od szczegółów. - Naprawdę pięknie jest tutaj, u was. Bardzo się cieszę, że nareszcie tu wróciłam.

- A, skoro tak, to witaj w domu - uśmiechnął się łaskawie Gianferro.

- Witaj, witaj - powtórzyli Nico i Ella, obejmując ją i ściskając.

Lucy wzruszyła się i upewniła, że jeśli gdziekolwiek na świecie zechce zapuścić korzenie, to pierwszym z tych miejsc może być i musi Mardivino.

Lucy spacerowała właśnie po ogrodzie pałacowym, w pewne piękne, świetliste popołudnie, gdy poczuła pierwsze bóle porodowe. Natychmiast wróciła do swych apartamentów. Wezwano medyka nadwornego.

- *Come e?* - pytał z włoska Guido, zwracając się do lekarza, pochylającego się nad jego żoną.

- Wasza Wysokość - powiedział lekarz. - Przy pierwszym dziecku poród bywa dosyć prędko. Powinniśmy jak najszybciej przewieźć pańską żonę do szpitala.

- No to nie traćmy czasu!

Już po paru minutach Lucy leżała w karetce, a Guido trzymał ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze - uśmiechał się do niej. - Zobaczysz.  
To przecież tylko zwykły poród.

- Ale nie zostawisz mnie, Guido?

- Gdzie nie zostawię? Tu, na porodówce? Jeśli o to jej chodziło, to nie powinien przyrzekać asysty w trakcie rozwiązania, bo nie było takiej tradycji w domu panującym na wyspie. Jednak widząc autentyczny strach w oczach żony, uściskał jej rękę:

- Nie zostawię cię, przyrzekam. I wszystko będzie dobrze.

W szpitalu sprawnie wykonano wokół Lucy wszystkie niezbędne zabiegi, po czym ułożono ją w pozycji ułatwiającej parcie.

Zlana potem, między jednym a drugim skurczem, jęknęła:

- Guido, jak ja teraz muszę okropnie wyglądać!

- Nic podobnego. - Pochylił się nad nią. - Jesteś równie piękna jak zawsze... Jak wtedy na przykład, kiedy się kochamy.

- Akurat. - Odgarnęła włosy z czoła.

- Lucy... - Zajrzał jej w oczy. - Skup się na tym, co jest teraz naprawdę ważne. *Cara*, proszę cię.

Odrzuciła w tył głowę i napięła mięśnie brzucha. Zaczęła jęczeć.

- Doktorze! - Guido przywołał położnika. - Czy można jej jakoś pomóc?

- Pomóc? Ależ wszystko przebiega zupełnie normalnie, Wasza Wysokość - uspokajał lekarz. - Pańska żona jest silną kobietą.

W istocie, wszystko przebiegało normalnie. Lucy krzyknęła trzy lub cztery razy i już było po bólu. Narodzone maleństwo okazało się dziewczynką, czarnowłosą i śniadą, wyraźnie podobną do ojca.

Dziecko obmyto i podano matce.

- Guido! - wołała przez łyżę szczęścia, toczące się po jej policzkach. - Czy ona nie jest śliczna?

Zbliżył się do łóżka żony.

- Śliczna, oczywiście - potwierdził, pochylając się, aby musnąć ustami policzek córki. - Dzielna byłaś, Lucy, brawo. Jestem z ciebie dumny.

Ucałowawszy żonę, obrócił się w stronę lekarzy.

- Również państwu dziękuję. - Skinął głową. - Bardzo dziękuję.

I to już było wszystko. Dziecko przyszło na świat, całe i zdrowe. Guido był bez przerwy blisko... A jednak Lucy czuła, że przy tych narodzinach coś się nie n a r o d z i ł o. Jej mąż wciąż jeszcze nie powiedział jej magicznego słowa „kocham”. Nie urodziła się jego miłość do niej. Czy kiedykolwiek się urodzi...?

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Podręczniki dla młodych matek zapewniają, że nianczenie dzieci nie jest łatwą sztuką. Lucy gotowa była się z tym w pełni zgodzić, zwłaszcza że jej córeczka, Nicole Katerina Marguerite Cacciatore była dzieckiem wyjątkowo żywym, ze skłonnością do dokazywania. Nie chciała spać o oznaczonej porze, głośno domagała się brania na ręce, w łóżeczku rozkopywała kocyki, którymi ją przykrywano.

Lucy, ciągle zajęta małą, niedosypiająca, snuła się po pałacu blada, z podkrążonymi oczami.

Guido kręcił głową.

- Nie, tak dalek być nie może.

- Ale co nie może być? - dziwiła się, bo fizyczne wyczerpanie bynajmniej nie wyczerpywało jej entuzjazmu dla najdroższej z wszystkich małych istot na świecie.

O, gdybyż Guido okazywał córeczce (i jej samej) choćby cząstkę tej miłości, jaką ona miała dla malutkiej Nicole.

- Widzę, że jesteś na ostatnich nogach - klarował żonie. - Musimy coś z tym zrobić.

Nie dodał, że nie dogadza mu zwłaszcza to, że Lucy wyprowadziła się z ich wspólnej sypialni, aby być bliżej pokoiku dziecięcego.

- Wszystkie matki nie dosypiają przez pierwsze tygodnie - tłumaczyła mężowi. - To całkiem normalne.



- Ale nas stać na jakąś pomoc! Na nianię, mówiąc tradycyjnie. Lucy zagryzła wargę i dołała sobie kawy, bo siedzieli właśnie przy śniadaniu.

- Nie, ja nie potrzebuję żadnej niani. - Pokręciła głową.

- Ale może ja potrzebuję! Chciałbym mieć żonę, która nie jest cieniem dawnej Lucy. Opiekunka mogłaby się zająć dzieckiem przynajmniej w nocy.

Nie wydawała się przekonana.

- Wszystkie moje przyjaciółki same wychowywały swoje dzieci.

Guido mógłby na to odpowiedzieć, że jej przyjaciółki nie były księżnymi. Lecz wolał nie używać tego argumentu... Popijał mocną i słodką kawę, szukając lepszego.

Zdarzało mu się czasem przyglądać żonie, gdy bawiła się z Nicole, myśląc, że nie jest obserwowana. Z ukrycia widział, jak całowała główkę dziecka, słyszał jej nucenie i odżywały w nim dawno pogrzebane wspomnienia. Widział siebie samego przed laty, obserwującego matkę, jak pochylała się nad małym Nikiem, gdy on stał w progu i czuł się niepotrzebny. Odsunął kawę.

- No dobrze - powiedział. - Wobec tego niania mogłaby się zająć Nicole przynajmniej w dzień? I co ty na to?

Spojrzała na niego.

- Naprawdę uważasz, że jestem aż taka przepracowana? Ale powiedz, Guido, cóż ja mam właściwie lepszego do roboty niż opieka nad dzieckiem? Ty doglądasz swoich interesów, siedzisz przy komputerze albo ruszasz na kontynent, a ja co, mam być bezrobotna?

Nie przywykłam do nic-nierobienia.

Wykonał gest zniecierpliwienia.

- Ella ma opiekunkę do Lea, a nie narzeka na bezrobocie.

No tak, lecz Ella i Nico są małżeństwem w pełnym sensie tego słowa i mają ze sobą co robić.

- Ella czuje się tutaj u siebie. Przymrużył oczy.

- A ty nie?

- No, nie całkiem... Choćby dlatego, że widzę, jak ty masz ochotę stąd uciec.

Odwrócił wzrok.

- Tak myślisz?

- Guido, nie udawaj! Wiem, że chciałbyś jak najszybciej wracać do Nowego Jorku.

Skrzyżował ramiona na piersi i westchnął.

- Racja - przyznał. - Chciałbym wracać. I chciałbym, żebyś ty też chciała.

Chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Cóż... - zaczęła z wahaniem. - Ostatecznie, jeśli to dla ciebie aż takie ważne...

- Ojej - prychnął zniechęcony. - Myślałby kto, że proponuję ci wyjazd do jakiejś zapadłej dziury w buszu... Ale w porządku, skoro tak, to zostajemy. - Wstał i przeszedł się w stronę okna. - Ale przy okazji: mój ojciec - odwrócił się - zaprasza cię dziś po śniadaniu razem z Nicole. Chciałby wreszcie zobaczyć swoją wnuczkę. No i ciebie poznać osobiście.

Lucy, zaskoczona, uniosła brwi. Czyżby staremu księciu nagle się polepszyło? Nikogo przecież nie dopuszczał do siebie, poza synami.

- Czuje się lepiej? - zapytała.

- Tak, chyba mu trochę lepiej - odparł. - To pewnie skutek tej ciepłej wiosny.

- A ty... nie pójdziesz z nami?

- Ja? - Wzruszył ramionami. - Niestety nie mogę. Mam dużo roboty. I poza tym ojciec zaprasza tylko was.

Wiedziała, że nie ma co naciskać Guida. Zwłaszcza jeśli wola jego ojca jest, jaka jest.

Z niemałym drzeniem przygotowywała się do wizyty. Nie stawała dotąd przed starym księciem twarzą w twarz. Postarała się przypudrować cienie pod oczami, wyszczotkowała włosy, długo deliberowała, którą suknię włożyć. Jeszcze dłużej stroiła małą Nicole; chciała, żeby mała księżniczka wyglądała rzeczywiście jak księżniczka, jak cudo z bajki.

Nim stawily się w apartamentach księcia, malutka szczęśliwie zasnęła. Była cicha jak aniołek, kiedy Lucy niosła ją w ramionach, zbliżając się do łóża chorego władcy.

Łoże, antyczny mebel z baldachimem, stało obrócone w ten sposób, że książę mógł cały czas patrzeć na ogrody pałacowe. Władca, mimo podeszłego wieku i piętna choroby, zachował godne rysy.

Spojrzał na zbliżającą się Lucy z łaskawością.

- Siadaj - powiedział z prostotą. - A więc to ty jesteś żoną Guida?

Zajęła miejsce w fotelu, stojącym w głowach łóżka.

- Tak, Wasza Wysokość.

- Miło, że mogę cię wreszcie poznać... Zostaw nas samych - zwrócił się do pielęgniarki, asystującej wizycie.

Kiedy siostra wyszła, poprosił, by Lucy pokazała mu bliżej dziecko.

- Śliczne maleństwo - uśmiechnął się serdecznie. - Chyba wykapany tata.

- Tak księżę uważa? - Lucy poczuła nagłe bicie serca.

- Tak. Chociaż nosek jest... jakby twój?

- W istocie - musiała się zgodzić. - Prawdopodobnie tak.

- I cieszę się, że nazwałaś ją Nicole. Tak miała na imię moja żona.

- Wiem. To Guido chciał, żebyśmy nazwali córeczkę po jego matce.

Stary władca skinął głową.

- Jest to imię starofrancuskie - odezwał się po chwili. - Chociaż podobno zaczyna być na nowo modne.

Nicole obudziła się i zaczęła cichutko gruchać.

- Chciałby ją księżę chwilę potrzymać? - spytała Lucy.

- O nie. - Ze smutkiem pokręcił głową. - Ręce mam już zbyt słabe... Muszą jej wystarczyć ramiona ojca... A, właśnie: jakim tatusiem jest dla Nicole Guido? Jak to widzisz, Lucy?

Stropiła się. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Dobrym, Wasza Wysokość... - zaczęła. - Bardzo kocha naszą córeczkę. Tylko że... - Urwała.

- Że co?

- No, niekoniecznie bierze ją na ręce. Jakby się bał, że może ją upuścić?

Dłuższą chwilę oboje milczeli.

- Nie powinienem był go posyłać do Ameryki - odezwał się nagle książę.

Czekała na dalszy ciąg, starając się nie odzywać, nie pytana. Ściśle wedle etykiety.

- Tak, tak - westchnął chory. - Kiedy zmarła matka Guida, byłem tak przybity, że niemal nie wiedziałem, co czynię. Nie powinienem był go posyłać.

- Myślę, że rozumiem - odezwała się ostrożnie.

- Naprawdę rozumiesz? - spojrzał z nadzieją. - Widzisz, tutaj nie miał się nim kto zająć. Malutkiemu Nicowi wystarczyła piastunka, on jeszcze nic nie pojmował, Gianferrem zaopiekowałem się ja, on był już dużym chłopcem. Ale Guido... Jemu potrzebny był koniecznie ktoś na miejsce matki. I znalazł się ktoś taki, za oceanem, myślę o jego ciotce, siostrze mojej zmarłej żony.

- Słyszałam coś o tym. - Lucy pokołysała Nicole, która zaczynała się już niecierpliwić. - I rozumiem, że Guido poczuł się z dala od domu... osamotniony?

Ledwie to powiedziała, przyszło jej do głowy, że może jej mąż, skrzywdzony przez los, bywa zimny nie przez zły charakter, lecz dlatego, że tak jest zaprogramowany. I że trzeba mu jakoś pomóc... A nie myśleć tylko o sobie, o własnych emocjach i wygodzie.

Przecież on, jako mały chłopczyk, przeszedł przez coś okropnego! Nagle został sierotą, równocześnie stracił przyjazne, znane sobie otoczenie, rajski pałac i ogród w Mardivino. Wylądował w zimnym molochu, jakim jest Nowy Jork. Właściwie trafił do piekła. I pewnie zamknął się wtedy w sobie, postanowił być dzielny i nikogo tak naprawdę nie potrzebować.

Księżę jakby usłyszał te jej myśli.

- Guido jest człowiekiem bardzo zamkniętym - powiedział. - Zamknął się w sobie jeszcze w dzieciństwie. Postanowił być wtedy dzielny. Wiesz... on nigdy nie płakał. Nie widziałem, żeby płakał.

Lucy poczuła nagłe wzruszenie. Przytuliła mocniej Nicole i postanowiła, że koniecznie musi dotrzeć do Guida! I że pomoże mu się otworzyć. Powinni się ze sobą wreszcie porozumieć, znaleźć wspólny język. A zaczną od... może zaczną od tego, na czym jemu najbardziej zależy, czyli od powrotu za ocean? Bo teraz tam jest jego dom.

Spojrzała na księcia i zobaczyła w jego twarzy wielkie zmęczenie. Nie wiadomo kiedy, jakby spod ziemi pojawiła się też pielęgniarzka.

Lucy wstała z fotela.

- Dziękuję za dzisiejsze zaproszenie, Wasza Księżęca Mość - powiedziała.

- Cała przyjemność po mojej stronie - uśmiechnął się do niej.

Wiedziona impulsem, podeszła i ucałowała policzek teścia.

Podążyła mu też Nicole do ucałowania. W oczach księcia zaśniewała wilgoć.

- Śpiewasz jej czasem? - zapytał. Lucy zamrużyła.

- Słucham? A tak, oczywiście, czasami. A czemu księżę pyta?  
- Bo jest taka piosenka, starofrancuska kołysanka, *Bonne nuit cher infant...* Znasz ją?  
Lucy pokręciła głową. Księżę odchrząknął.  
- To się jej naucz, moje dziecko... A śpiewając, wspomnij czasem o mnie.

Ich oczy się spotkały. W źrenicach księcia był głęboki cień. Lucy w jednej chwili pojęła, że dni władcy są policzone. Poczowała się jeszcze bardziej poruszona.

Wróciwszy do swych apartamentów, zastała wiadomość od Guida, że nieoczekiwanie musiał w interesach udać się w zachodnie rejony wyspy i że powróci dopiero jutro.

Posmutniała. Serce miała przepełnione, tyle chciała mężowi od razu powiedzieć - a tu trzeba czekać aż do jutra. Bo o sprawach najistotniejszych nie można przecież rozmawiać przez telefon.

Po samotnym lunchu wyszła z Nicole do ogrodu, gdzie spotkała Nica. Jej szwagier był spocony, w szortach i bawełnianym tiszercie, najwyraźniej po porcji joggingu.

- Cześć, Nico - pozdrowiła go.  
- Cześć - odrzekł przyjaźnie. - Jak tam twoja malutka?  
- Nicole? Świetnie, dziękuję... Wiesz, miałabym do ciebie mały interes.  
- Interes. No, słucham?  
- Czy ty znasz przypadkiem taką kołysankę... *Bonne nuit*. I coś tam dalej?

- *Bonne nuit cher infant?*

- O, właśnie to!

- No, znam - uśmiechnął się. - A dlaczego pytasz?

- Bo wiesz, zastanawiam się... - Nagle zdała sobie sprawę, że ta rzecz jest dla niej bardzo ważna, nie wiadomo dlaczego, ale ważna. -  
Może być mnie tej kołysanki nauczył. Co, Nico?

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zapadał już zmierzch, gdy Guido dotarł wreszcie do pałacu. Był zmęczony i ziewał, idąc przez marmurowe korytarze w stronę apartamentów, które zajmował z Lucy.

Od dawna nie oglądał zachodniej części wyspy i teraz był pod wrażeniem tego, co tam zobaczył, zwłaszcza malowniczą Lejanę. Jego brat Nico napracował się, żeby unowocześnić infrastrukturę tej części Mardivino, założył elektryczność, wodociągi i kanalizację, nie naruszając przy tym historycznej architektury, piękna zakątków, mogących przyciągnąć turystów.

Guido, po raz pierwszy od lat, poczuł żywe zainteresowanie losem swego księstwa. Można by się włączyć w te ulepszenia, pomyślał i spojrzął na zegarek. Miał nadzieję, że Lucy nie położyła jeszcze małej spać, że jeszcze zdąży ucałować swą śliczną, słodką Nicole.



No a Lucy... Z naturalnych powodów dawno z nią nie spał. Sporo o niej za to myślał i doszedł do wniosku, że ma w związku z nią nie całkiem czyste sumienie. Mógłby postępować bardziej fair ze swą żoną.

Pokonał ostatni zakręt, stając przed drzwiami ich mieszkania. Cicho nacisnął klamkę i zamarł w progu. Usłyszał bowiem melodię, która nigdy nie pozostawiała go obojętnym. Głos Lucy śpiewał kołysankę, pamiętaną z dzieciństwa:

- *Bonne nuit cher infant...* Guido przymknął oczy.

- *Quand tu dors dans mes bras...*

Oparł się o ścianę, czując ściskanie w gardle.

- *Comme un ange dans mes bras.\**

Skończyła się zwrotka i wtedy się ruszył, czując, że ma łzy na policzkach. Nie dbając o to, jak w transie, skierował się do pokoju. Pchnął półprzymknięte drzwi i ujrzał Lucy, kołyszącą Nicole, ujrzał Matkę z Dzieckiem, w scenie jak ze starego obrazu.

*\* Dobranoc, droga dziecino, która śpisz w mych ramionach jak aniołek (przyp. tłum.).*

Ona uniosła głowę.

- Guido... - zaczęła i urwała, bo zrozumiała, że widzi oto męża w stanie, w jakim nigdy go przedtem nie oglądała.

- Nie wiedziałem, że znasz tę pieśń - odezwał się łamiącym głosem.

- A ty ją znasz? - zapytała, oczywiście niepotrzebnie.

Skinął głową.

- Tak. Śpiewała mi to moja matka.

No właśnie. Wstała od kołyski, pamiętającej prawdopodobnie wiele książęcych pokoleń i podeszła do męża. Objęła go bez słowa i ucałowała łzy na jego twarzy.

Nie odsunął jej. Nie wstydził się. Także ją objął.

Zajrzała mu w oczy.

- Guido, kochany, co się stało? Powiedz, co się stało?

Nie był w stanie od razu przemówić. Niełatwo nazwać to, co od lat tłumione, pogrzebane było gdzieś na dnie.

Lucy przytuliła się do niego.

- Ja wiem - szepnęła. - Wiem. Zawsze byłeś dzielnym chłopcem. Nie płakałeś po śmierci matki... Ani wtedy, gdy ojciec posłał cię za ocean. Myślałeś, że pozbywa się ciebie, bo cię nie kocha. Postanowiłeś sobie wtedy raz na zawsze być dzielnym.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Trochę opowiedział mi twój ojciec, a reszty się domyślam...

Ojciec wspomniał też o tej kołysance. Chciał, żebym się jej nauczyła i śpiewała ją Nicole.

- On chciał? - zdziwił się Guido. Skinęła głową.

- To podobno kołysanka, którą śpiewa się w twojej rodzinie od pokoleń.

Nie mógł się nadziwić temu, co usłyszał. Nie doceniał wrażliwości starego księcia, jak się okazuje.

- Więc mój ojciec jest taki wrażliwy?

- Chyba jest - potwierdziła. - Tylko że jako władca nie okazywał tego... Tak? Cóż, w jego sytuacji trzeba być twardym... Ale ty nie bądź dla niego twardy, Guido. - Podniosła wzrok. - On na pewno chciał twego dobra. Przypuszczał, że pięcioletni chłopiec potrzebuje opieki kobiety, dlatego wysłał cię do twojej ciotki w Stanach. Zrobił to z miłości do ciebie. On zawsze cię kochał, wierz mi.

Guido milczał, nieporuszony, a Lucy modliła się w duszy, by jej słowa do niego dotarły.

- Kochał cię i nadal kocha... Tak jak ja ciebie Kocham - dodała cicho.

Wyznanie Lucy poruszyło coś w jego duszy. Dotknęło struny, uspionej zdawałoby się na zawsze. Z gardła Guida wydobył się ni to śmiech, ni to szloch. Mocno przytulił żonę, zanurzając nos w jej pachnących włosach.

- *Cara*, czy ty mi kiedyś przebacysz...? Poszukała jego oczu.

- Czy przebaczę? Ale dlaczego?... Coś ty takiego zrobił!

Zrozumiał, że wyraził się dwuznacznie. *Dio*, ona mogła pomyśleć, że ma na sumieniu jakąś zdradę. Ucałował jej wargi.

- Nic takiego nie zrobiłem... O to właśnie chodzi, że nic lub za mało dotąd zrobiłem.

- Guido, mówisz zagadkami. Uśmiechnął się.

- No dobrze, więc będzie bez zagadek. Posłuchaj teraz...

Zechcesz mnie posłuchać?

Zamknęła oczy, modląc się, aby to, co miała usłyszeć, nie

pograżyło jej do reszty. Bo co będzie, jeśli on powie, że jednak nie jest zdolny do miłości? Że pewnych rzeczy nie da się w jego życiu odrobić? I że wobec tego czeka ją szare małżeństwo z rozsądku, zresztą nierzadkie w rodach panujących, smutne jak dożywotni wyrok?

Guido westchnął.

- Głupi byłem i samolubny... - zaczął. - Całe życie tylko brałem...

I od ciebie też chciałem brać, nic w zamian nie dając.

- Ależ, Guido...

- Miałaś mnie wysłuchać.

Pokiwała głową, czując, że właściwie nie jest zdolna nic więcej powiedzieć, bo ścisła ją w gardle.

- Całkiem bez sensu upierałem się, żebyśmy zamieszkali w Nowym Jorku, chociaż ty... - Urwał i znowu westchnął.

Chciała coś dodać, zaprzeczyć, lecz nadal ścisła ją w gardle, a poza tym miała przecież nie przerywać.

- Wczoraj byłem w Lejanie - podjął. - Wiesz, gdzie to jest?

- To w zachodniej części wyspy. Tak? Uśmiechnął się z aprobatą.

- Widzę, że nie próżnowałaś. Podciągnęłaś się w geografii

Mardivino.

- No a ta Lejana...?

- To wyjątkowo piękny zakątek - odrzekł.

- I wypatrzyłem tam dla nas parcelę, gdzie moglibyśmy zbudować dom. - Zauważył, że się zmarszczyła. - Ale jeśli chcesz, zostaniemy w Solajoi, oczywiście. W tym pałacu.

- Nie, nie chcę. Ściągnął brwi.

- Słucham? Już nie chcesz?

- Nie. Bo wolę żyć tam, gdzie ty się czujesz dobrze. Czyli za oceanem.

Zamrugął powiekami.

- Jak to? Jesteś pewna?

- Absolutnie tak. Pokręcił głową.

- No, no. To mnie zaskakujesz. Uśmiechnęła się.

- Chcę, żebyśmy oboje byli szczęśliwi, a ty tutaj nie jesteś szczęśliwy. Przez to i mnie tu nie jest dobrze... Kobiety łatwiej dostosowują się niż mężczyźni... Więc ja się przystosuję do Ameryki.

Zaczął się śmiać.

- Ale komplikujesz, Lucy! Ale komplikujesz!

- Śmiał się coraz głośniej.

- Cśś! Bo obudzisz Nicci! Położył sobie palec na ustach.

- Jasne, już jestem cicho... Czyli ty chcesz mnie uszczęśliwić, a ja ciebie. A ty mnie... I tak dalej. W jaki sposób wybrniemy z tej sytuacji?

- Nie wiem. Słowo daję, że nie wiem.

- No to ja muszę wiedzieć. I zrobmy tak: nie decydujemy teraz, zaraz, o niczym. Są ważniejsze rzeczy, o których trzeba by pomyśleć.

Podniosła oczy.

- Na przykład o czym?

- Cśś. - Ujął jej dłoń i podniósł ją do ust. - Chodź.

Podeszli do kołyski, w której spało dziecko. Przez chwilę patrzyli w milczeniu na śliczną dziewczynkę, na jej delikatną buzię, na rączki zaciśnięte w piąstki.

Guido wskazał głową.

- Będzie waleczna, co?

Spojrzała na niego. Nie całkiem zrozumiała, o co mu chodzi, ale gotowa była się z nim zgodzić.

- Jasne - powiedziała. - Myślę, że będzie waleczna. W każdym razie taką mam nadzieję.

## *EPILOG*

Nie była to łatwa podróż, ta, w którą razem wybrali się przez życie. Wiele musieli się o sobie nauczyć, wiele stopić lodów. Lecz miłość wszystko zwycięża. Zdrętwiałe serce Guida ożyło w atmosferze czułości, jaką umiała stworzyć Lucy. Ona sama zaś rozkwitała teraz w nowym domu, jaki zbudował dla niej w słonecznej Lejanie!

Według Lucy był to najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziała w życiu. Zręcznie wpisany w krajobraz, miał okna wychodzące na morze, a po drugiej stronie na widoki górskie. Był obszerny, wygodny, zarazem jasny i cienisty, funkcjonalny i tajemniczy. Przynależała do niego prywatna plaża i ogrody, zaprojektowane z myślą także o dzieciach. O dzieciach w liczbie mnogiej, ponieważ Guido nie zamierzał poprzestać tylko na swej Nicole, pragnął mieć z Lucy większą gromadkę słodkich aniołków.

Uświadamiał sobie też coraz lepiej, kim jest i czego naprawdę

chce. Otóż nade wszystko potrzebował rodziny i gniazda, których zabrakło mu, gdy przed laty zmarła jego matka. Wiedział, że osiedlając się na malej, śródziemnomorskiej wyspie, nie straci kontaktów ze światem. Będzie mógł dalej prowadzić swoje interesy, bo w czasach łączy satelitarnych można przecież kierować dowolnym przedsięwzięciem z dowolnego miejsca na globie.

Obojgu najmniej brakowało rozstania z życiem dworskim w Solajoi... Etykieta, półfeudalny nastrój i tym podobne ograniczenia krępowały zarówno Guida, jak Lucy, oboje wychowanych w wolnym świecie, gdzie nikt nikomu nie podlega, chyba że miałyby to być niewola serca albo praca.

Pewnego pięknego dnia siedzieli sobie na tarasie, popijając herbatę i spoglądając na morze. Było popołudnie; przed chwilą wyszli ostatni goście, którzy zjechali tu na rodzinne cocktail party. Ze stolicy Mardivino przybyli Nico z Ellą i z małym Leo, a także Gianferro, który jakimś cudem zdołał oderwać się od swych trudnych zadań. Ojciec rodu wciąż chorował, wskutek czego najstarszy z braci zmuszony był stale pełnić obowiązki regenta.

Lucy zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa.

- Czy Gianferro nie wydał ci się jakoś szczególnie przepracowany?

Guido upił łyk herbaty.

- Chyba nie bardziej niż zwykle?

- A mnie się zdaje, że bardziej.

- *Cara mia*, możliwe. Ale taki bywa los ludzi u steru władzy.

Pokiwała głową.

- No właśnie. Jednak czy ty z Nikiem nie moglibyście go jakoś odciążyć? Pomóc mu trochę?

Odstawił filiżankę i uśmiechnął się. Z dnia na dzień coraz bardziej lubił swoją żonę. Jakież ona ma serce dla wszystkich! Jakże jej z początku nie doceniał! Właściwie czym zasłużył sobie na tak wspa-  
niałą kobietę?

- Niestety - westchnął. - Nie można być regentem w trzech osobach, w każdym razie nie u nas. Prawa Księstwa Mardivino nie przewidują takiego wariantu. Tak że bardzo żałuję, ale...

Poruszyła brwiami.

- Szkoda - powiedziała. - Jaki on się musi czuć samotny, ten twój brat.

- Niewątpliwie *cara*, niewątpliwie.

- I nawet nie ma żony ani nic nie zapowiada, że będzie miał!

Guido ściągnął brwi.

- No tak, racja... Z tym się zresztą wiązą dalsze problemy. Bo jeśli Gianferro nie będzie miał dzieci, to jego linia na wyspie wygaśnie i wtedy... - urwał. - Wtedy to naszym dzieciom przyjdzie z czasem przejąć władzę.

- Ale ty... - zawiesiła głos. - Ale ty byś tego dla nich nie chciał, prawda?

Spotkały się ich spojrzenia, po czym Guido spuścił oczy. Spróbował sobie wyobrazić Nicole jako Wielką Księżną i musiał się uśmiechnąć. Zaraz jednak spowaźniał. Bo czy można serio życzyć



najdroższej, ukochanej istocie tych wszystkich utrapień, które się wiążą ze sprawowaniem rządów? Blisko tronu zawsze się kłębi od nieokiełzanych namiętności, od splotu wzniosłości i podłości, od pochlebców i zamachowców. Przy tym człowiek u władzy nie ma prywatnego życia, pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę; jest właściwie niewolnikiem funkcji, którą pełni.

- Oczywiście, że nie chcę! Masz rację, kochanie, nie chcę. Spojrzeli na siebie.

- No właśnie - podjął Guido. - Jeśli kiedykolwiek myślałem o zapewnieniu moim dzieciom sukcesji w księstwie, to teraz żegnam się z tą myślą. Lepszy jest spokój i proste życie... Takie jak nasze życie, prawda, Lucy?

Uśmiechnęła się, wzruszona i wyciągnęła do niego rękę. On ujął tę rękę i uścisnął ją.

- Lucy, Lucy, jakie to szczęście, że mogłem cię spotkać w życiu... Dziś wiem, że jesteś największym skarbem, jaki mam. Jesteś słońcem moich dni i powietrzem, którym oddycham... Kocham cię, *Carissima mia*, wiedz, że bardzo cię kocham.

W oczach Lucy zalśniły łzy.

- Och Guido, Guido...

Wstał ze swego fotela i przykląkł przy niej.

- Nie trzeba łez, Lucy, cieszymy się. - Ucałował jej oczy. - Jak możesz płakać, gdy moje serce ożyło i może ci wreszcie wyznać miłość?

- Ach... - westchnęła, tuląc jego głowę. - To są łzy szczęścia,

Guido. Tak długo czekałam na to magiczne słówko „kocham”. Tak długo...

Porwał ją w ramiona i mocno przytulił. Potem wziął ją na ręce i zaniósł do pokoju, nie zamykając drzwi na taras.

Kochali się aż do zmierzchu, do pierwszego księżyca, słuchając przyboju, szumu fal, sami falując, jak morze, jak wiatr, jak kołyszące się trawy na wydmach.

- Kocham cię, Lucy, kocham - powtarzał z przepełnionym sercem.

- I ja cię kocham, zawsze kochałam - odpowiadała, nareszcie nasycona.

Kiedy zasypiali, otuliwszy się puszystym pledem, Lucy pomyślała, że to był dobry pomysł, by zbudować sobie dom z dala od zgiełku świata.

Dom, w którym można żyć i kochać.